czas 2552/1977/5

Z PAMIĘTNIKA
Jak drzewiej dzieci żeniono
Edward Rudnicki 3

TERAZ HRUBIESZÓW 7
Maciej Podgórski

OPOWIEŚĆ DETEKTYWISTYCZNA
POGROMCA
Zbigniew Włodzimierz Fronczek 11

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 6 III 1977 Nr 5 (621) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

SKRACAMY KOLEJKI

Jerzy Dostatni

POGRUDNIOWA strategia społeczno-gospodarczego rozwoju kraju przyniosła widoczne efekty. Świadczą o tym wymownie wyniki poprzedniej pięciolatki, zarówno te, które odnotowano w odpowiednich statystykach, jak i te, które utrwaliły się w odczuciu społecznym. Stawiając sobie obecnie te same cele strategiczne, dalszą poprawę warunków materialnych życia narodu, w bieżącej pięciolatce zmieniamy taktykę. Zmiana ta polega na względnym zmniejszeniu ogólnego wysiłku inwestycyjnego. Względnym — bo wprawdzie procentowo udział inwestycji w podziale dochodu narodowego zmniejsza się, ale w sumach bezwzględnych nadal rośnie.

Jednak trzy działy gospodarki narodowej potraktowane zostały w sposób uprzywilejowany: rozwój produkcji rynkowej, tworzenie nowoczesnej gospodarki żywnościowej opartej o wzrost potencjału naszego rolnictwa oraz budownictwo mieszkaniowe. Priorytet ten wyraża się poważnym wzrostem nakładów, które w bieżącym pięcioleciu są o 47 proc. wyższe niż w poprzednim. Licząc w złotówkach nakłady rosną z 990 miliardów do prawie półtora biliona. Komentarze są tutaj zbyteczne, aprobata społeczna zaś powszechna.

Na uspołecznione budownictwo mieszkaniowe wydamy w bieżącym pięcioleciu 471 miliardów złotych. To na same budynki. Natomiast razem

Dokończenie na str. 4—5

Rys. Konrad Kozłowski

Rozhin w Gorzowie

Ireneusz J. Kamiński

PRZECZYTAŁEM kiedyś w „Trybunie Ludu" takie uwagi Romana Szydłowskiego o teatrze w Gorzowie: *Rozhinowi udało się przenieść i zachować entuzjazm studenckiego teatru. Zespół, którym obecnie kieruje, ma wszelkie znamiona sceny walczącej, a jego uczestnikom chodzi na pewno nie tylko o to, aby mieć etat. Świeżość młodego teatru uderza więc przede wszystkim w jego przedstawieniach. Można by zgłosić do poszczególnych przedstawień takie czy inne zastrzeżenia... Ale zawsze wyczuwa się żarliwość, która jest cenną wartością w pracy każdego teatru, pragnącego nawiązać rozmowę ze swymi widzami.*

Ponieważ w ostatnich kilkunastu miesiącach znalazłem kilka zbliżonych opinii, postanowiłem zobaczyć

Dokończenie na str. 8—9

Siwy koń szczęście przynosi

Małgorzata Sawicka

PRZYSZLI do mnie we dwóch. Ręce spękane od roboty, chłopy, widać, twarde, a ze łzami w oczach. Bo krzywda taka. Oni, Dalmata i Stajszczak znaczy, żyrowali Kuwałce z Zemborzyc Tereszyńskich pożyczkę na maciory. Było tego coś z 80 tys. zł. A teraz od komornika dostali pisma, że lada dzień przyjdzie zajmować ich dobytek. Krowy, świnie, telewizor... to, czego się dorobili. I to tak sąsiad robi, porządny człowiek, społeczny naczelnik straży pożarnej?

Bank Spółdzielczy i GS to instytucje żyjące z rolnikiem w symbiozie, coraz ściślejszej w miarę rozwoju wsi. Bank prosperuje dzięki i dla rolników. Oni tu biorą pożyczki na budowę domów, szklarni, obór, na zakup maszyn rolniczych, cielaków i loch, paszy czy ziemi. Gdyby uważnie rozejrzeć się w każdej gminie, okazałoby się, że chyba tylko „sieroty Boże", ludzie bez ambicji, zatruci jadem marazmu, nie korzystają z dobrodziejstw kredytu. Tylko w ubiegłym roku banki spółdzielcze na terenie województwa lubelskiego wypłaciły kredyty na sumę grubo ponad miliard złotych.

Więc zanim wyruszyłam na wieś, żeby poznać Stanisława Kuwałka, zaszłam na ul. Szopena do dyrektora lubelskiego oddziału Banku Spółdzielczego, Mieczysława Ciska.

Sprawę znał, upewnił się tylko w Motyczu co do szczegółów.

— Kuwałko brał dwie pożyczki. Na budowę obory, a potem na zakup loch i paszy. W tej chwili zadłużony jest w banku na sumę prawie 200 tys. zł.

— Fura pieniędzy, kiedy on to spłaci?

Dokończenie na str. 4—5

Przed Belgradem

„TRZECI KOSZYK"

Mieczysław Jesion

IM bliższy jest termin konferencji belgradzkiej — spotkania przedstawicieli państw — uczestników KBWE w Helsinkach — tym bardziej w państwach zachodnich nasila się propaganda skierowana przeciwko państwom socjalistycznym.

Jak wiadomo, konferencja belgradzka ma przedyskutować sprawę realizacji Aktu Końcowego KBWE w Helsinkach. Siły imperialistyczne kładą specjalny nacisk na tzw. „trzeci koszyk", w którym zgromadzono problemy kultury, oświaty, informacji i kontaktów międzyludzkich. Już w toku dyskusji nad poszczególnymi zagadnieniami zarysowało się kilka punktów widzenia. Państwa socjalistyczne wyszły z założenia, że współpraca w dziedzinach humanitarnych musi się opierać na nadrzędnych zasadach stosunków międzypaństwowych — na nieingerencji w sprawy wewnętrzne, na suwerennej równości państw. Zasada ta znalazła swoje odzwierciedlenie w tekście uchwał KBWE. Wielu z sygnatariuszy Aktu Końcowego jednak o tym dzisiaj zapomina i szermując wyrwanymi z całości dokumentu cytatami usiłuje nas pouczać, wskrzeszać zimnowojenne nastroje, szerzyć antysocjalistyczne poglądy. W obliczu porażki w Wietnamie i w Angoli, przeobrażeń w Portugalii i w Hiszpanii, sukcesów sił lewicowych w Europie zachodniej, pogłębiającego się kryzysu gospodarczego na Zachodzie dobry jest każdy pretekst.

Ferenc Varnai pisał na ten temat ostatnio w węgierskim dzienniku „Nepszabadsag":

Określone koła imperialistyczne (...) nasilają swoje napaści, starają się pomniejszyć osiągnięcia państw socjalistycznych w opinii narodów. [...] W stosunku do krajów socjalistycznych rozpowszechnia się opinie, mające udowadniać, że szerzy się w nich niezadowolenie. [...] Nigdy nie zaprzeczaliśmy, że w naszych krajach znajdują się również osoby, które — często właśnie pod wpływem propagandy burżuazyjnej — popadają w konflikt z obowiązującym porządkiem prawnym, z rzeczywistym interesem swojej klasy i własnym. Są również i tacy, których należy zaliczyć do reliktów klas panujących dawnych społeczeństw, do ich spóźnionych obrońców. Jednakże chodzi tu nie o masy, lecz garstkę ludzi. [...] W krajach socjalistycznych, w których władza znajduje się w rękach ludzi pracy, których interesów broni, istnieją odpowiednie instytucje demokratyczne, gdzie obywatele mogą wypowiedzieć swoją opinię, w tym również na temat rzekomych czy rzeczywistych błędów...

W dalszej części artykułu F. Varnai stwierdza, że jeśli chodzi o wymianę idei i wartości duchowych, kraje socjalistyczne robią znacznie więcej w zakresie rozpowszechniania osiągnięć naukowych i kulturalnych Zachodu niż kraje zachodnie w zakresie propagandy duchowych wartości świata socjalistycznego.

Powołując się na nasze, polskie podwórko, można tu podać wiele interesujących liczb. Oto np. w latach 1945—1974 wystawiono w Polsce 3296 sztuk teatralnych z krajów niesocjalistycznych. W tym samym czasie w państwach tych pokazano jedynie 192 sztuki, które wyszły spod pióra dramaturgów polskich. Na 1393 pozycje autorów francuskich, których dzieła przetłumaczono i wydano w Polsce, Francja zrewanżowała nam się jedynie zaproponowaniem swoim czytelnikom 142 utworów. Stosunek więc niemal jak dziesięć do jednego!

Niemal identycznie kształtują się dane w Wielkiej Brytanii, USA, a nawet w Szwecji i Norwegii. W Polsce np. przetłumaczono 111 dzieł autorów norweskich, a w Norwegii zaledwie 22 polskich. Podobnie rzecz wygląda w telewizji. My np. co najmniej dwie i pół godziny tygodniowo poświęcamy na emisję filmów amerykańskich. W USA w ciągu całego roku na emisje filmów polskich w TV przeznacza się niecałe siedem godzin!

Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że niektóre kraje zachodnie mogą mieć większy, nagromadzony w ciągu wieków, dorobek kulturalny, bogatsze środki techniczne; wiemy również, że tam przede wszystkim wielką rolę odgrywa pieniądz. Mimo to jednak stosunek jeden do dziesięciu może tylko oburzać. A dodajmy, że nasze filmy, zwłaszcza telewizyjne, zdobywają wiele laurów na różnego rodzaju konkursach, organizowanych często właśnie w krajach kapitalistycznych. Decyzja jury pozostaje jednak tylko decyzją jury. Poza jury i garstką widzów festiwalowych nikt na Zachodzie tych filmów nie ogląda. Czy nie należy się w tym dopatrywać przyczyn natury politycznej?

Gdy o filmach mowa. Jerzy Bajdor przytoczył w „Trybunie Ludu" inne znamienne fakty:

...Nasi oficjalni kontrahenci na każdym kroku zapewniają o swym poparciu dla rozwoju kontaktów handlowych w dziedzinie filmu, ale w praktyce wciąż niewiele z tego wynika. W podobnej sytuacji znajdują się właściwie wszystkie kinematografie krajów socjalistycznych: ich najwybitniejsze filmy prezentowane są często tylko na festiwalach i pokazach specjalnych dla nielicznych ilościowo grup widzów. Nie trafiają natomiast prawie wcale do sieci kin komercyjnych, nie mają więc realnej możliwości dotarcia do szerszego audytorium. Jest to zjawisko tym bardziej paradoksalne, że na liczących się festiwalach filmowych wyraźnie wzrosła w ciągu ostatnich lat ilość nagród przyznawanych pozycjom kina socjalistycznego. A jednocześnie najwięksi zachodnioeuropejscy potentaci przemysłu kinowego (Francja, Włochy, Anglia) bynajmniej nie przeżywają okresu koniunktury. Niemniej — skutecznie funkcjonujący system barier polityczno-ekonomicznych utrudnia w praktyce rozwój kontaktów handlowo-komercyjnych. Ciągle jeszcze zdarzają się też próby eliminacji kinematografii krajów socjalistycznych z udziału w międzynarodowych festiwalach, wciąż występują tendencje do ingerowania w nasze sprawy programowe przy doborze filmów do prezentacji. Największe zainteresowanie wśród znacznej części zachodnich kontrahentów budzą zwłaszcza te pozycje, które stanowią dogodny pretekst do manipulacji interpretacyjnej. Takie, niestety, są fakty.

Na zakończenie warto jeszcze zacytować fragment wypowiedzi członka Biura Politycznego KC Węgierskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej, wicepremiera Gyoery Aczela, dla wiedeńskiej „Die Presse":

Duch Helsinek kroczy przez Europę i jest nawet niemało takich, którzy chcieliby stanąć mu na drodze. Jednakże czy nie były liczniejsze i potężniejsze te siły, które próbowały zapobiec rozprzestrzenianiu się innego ducha, „widma", o którym pisali przed ponad stu laty w Manifeście Komunistycznym Marks i Engels? Co prawda, istnieją zasadnicze różnice między obu duchami, nie chcę więc dłużej pozostawać przy tym porównaniu, ale jedno mogę oczywiście powiedzieć, że ten brak identyczności nie oznacza, iż oba duchy są od siebie niezależne. Duch Helsinek zaczyna się umacniać, mimo aktywności oponentów, z tego powodu, ponieważ ma on solidną podstawę w międzynarodowym układzie sił, w interesach różnych narodów, w instynkcie samozachowawczym ludzkości i naszego kontynentu.

Nie dodać. Nic ująć. Działania sił zimnowojennych z góry skazane są na fiasko. W sześćdziesięciolecie Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej słowa te mają szczególny wydźwięk.

PROBLEMY KRAJÓW KAPITALISTYCZNYCH

Kto zarabia na strachu?

W STANACH Zjednoczonych wielką koniunkturę przeżywa obecnie policja prywatna i tzw. „opiekunowie", coraz częściej wynajmowani przez co bogatszych obywateli, przedsiębiorstwa bądź nawet osiedla mieszkaniowe.

„W naszym mieście — oświadczył niedawno szef policji w San Francisco — nie ma już żadnej dzielnicy, gdzie by można czuć się bezpiecznie. Odnosi się to zarówno do dzielnic zamieszkałych przez białych, jak i do dzielnic murzyńskich, do dzielnic stanowiących siedzibę bogatych jak i biednych". A przecież — pisze szwajcarski „Die Weltwoche" — to przepiękne miasto na Wybrzeżu Zachodnim jest jeszcze symbolem przytulności w porównaniu z Detroit, Nowym Jorkiem czy Chicago...

„Time Magazine" tak charakteryzował mieszkańców tych miast:

„Jeśli opuszczają swój dom — o ile w ogóle wychodzą — to wsłuchują się bojaźliwie w każdy odgłos zbliżających się kroków i drżą zobaczywszy obcego. Na ogół jednak pozostają w domu, kiedy zapada zmrok. Ich świat jest zamknięty w czterech ścianach mieszkania, które zmieniają w fortecę, zakładając zamki, zapory i kraty. Zarówno biali, jak i czarni przeżywają tę samą obawę, że zostaną napadnięci, będą męczeni i mogą zostać zamordowani przez bandy młodocianych".

Narastająca fala terroru prowadzi do wzrostu obrotów branży przemysłowej, prosperującej dzięki strachowi. Należą do niej zarówno producenci krat i systemów alarmowych, jak i treserzy psów, a także właściciele szkół karate. Kwitną też interesy świadczone od dawien dawna przez „opiekunów" osobistych i policjantów prywatnych.

Dyplomaci, politycy, gangsterzy, gwiazdorzy filmowi, wykonawcy szlagierów młodzieżowych zawsze co prawda mieli ochronę osobistą, ale należała ona do ceremoniału, była zarówno elementem bezpieczeństwa, jak i reklamy oraz symbolem pewnego statusu. W ostatnich latach jest to jednak sprawa śmiertelnie poważna. Wynika to z powszechnych uprowadzeń i rozszerzającej się fali przestępczości.

Branżę otacza dyskrecja. Prawie niemożliwe jest uzyskanie dokładnych liczb i tym bardziej nazwisk osób w niej pracujących. Ocenia się jednak, że podczas gdy w latach 50-tych było od 2 do 3 tysięcy „opiekunów", to liczba ich wzrosła dzisiaj do 20 tysięcy. Oczekuje się, że pod koniec lat 70-tych około 70 tysięcy „opiekunów" troszczyć się będzie o bezpieczeństwo całkiem niewielkiego kręgu klientów: posiadaczy majątków, członków zarządów akcjonariuszy, menażerów i dyrektorów wielkich przedsiębiorstw.

Dick Williams służył 23 lata w policji w Los Angeles, wreszcie ze swym kolegą, Billem Robertsem, założył 2-osobową firmę. Jego wspólnik został niedawno zamordowany przez nieznanych sprawców, jednak Williams utrzymuje dzisiaj współpracę z 20 „opiekunami", których oddaje do dyspozycji klientów za około 50 dolarów za godzinę.

„Większość moich pracowników pochodzi z policji — opowiada — a zarabiają u mnie bardzo dobrze: 15 tysięcy, 20 tysięcy, 25 tysięcy dolarów rocznie. Mają jednak trudną robotę. Chyba łatwiej jest chronić klientów, niż ich pouczać. Tak np. pan dyrektor X czuje strach, być może otrzymał list z pogróżkami, wynajmuje więc sobie „opiekunów". Stajemy się jednak dla niego niewygodni, nie chce mieć nas stale koło siebie, nie chce też zmieniać trasy przejazdu samochodem, do której się przyzwyczaił, nie chce czuć się ciągle obserwowany przez nas. Na ogół niebezpieczeństwo mija po niezbyt długim czasie, po 2—3 dniach, po tygodniu lub dwóch. W tym okresie jednak domagamy się prawa do absolutnej kontroli. Klient powinien zachowywać się tak, jak mu polecamy. Od tego przecież zależy jego życie".

Wielkim panom nie pozostaje nic innego, jak podporządkować się. „Opiekunowie" nie są przecież troskliwymi towarzyszami podróży, lecz na ogół byłymi policjantami, agentami FBI oraz wywiadu. Bardzo niewiele wiadomo na temat tej powiększającej się armii. Wiadomo tylko, że siedzą w eleganckich, szytych na miarę ubraniach wśród uczestników ważnych gremiów, jeżdżą przebrani w liberie szoferów, towarzyszą dzieciom w drodze do szkół i noszą siatki z zakupami małżonek ochranianych klientów.

Po każdym morderstwie, po każdym uprowadzeniu w USA ich liczba szybko idzie w górę, nowe małe firmy „opiekuńcze" szybko rozrastają się w wielkie przedsiębiorstwa, prywatne firmy detektywistyczne przestawiają się na zapewnianie ochrony.

Podczas gdy „opiekunowie" pracują w cieniu możnych i wybranych, policja prywatna jest bardziej „demokratyczna", widoczna na ulicach miast — na parkingach, przy supermarketach, domach towarowych, bankach, hotelach. Co drugi prywatny policjant jest uzbrojony, jego mundur z trudem można odróżnić od munduru policji państwowej. Ocenia się, że w USA działa od pół do miliona policjantów prywatnych, co około dwukrotnie przewyższa liczbę policjantów państwowych.

Policjant prywatny jest bardzo daleki od statusu „opiekuna". Przeciętnie liczy 49 lat i zarabia ok. 2,5 dolara za godzinę. Jego „wyszkolenie fachowe" jest wyjątkowo skromne.

„Ciarki przechodzą nam po plecach, kiedy widzimy, jak nieprzygotowane osoby patrolują nasze ulice z rewolwerem na biodrach" — powiada Fred Gallegos z wydziału kryminalnego policji w Los Angeles.

„Opiekunowie", policja prywatna, policja państwowa... Ale rabunki, morderstwa, kradzieże, gwałty nie maleją, ale rosną.

Ludzie czują się osamotnieni i bezsilni — pisze „New York Times". — Żyją w ciągłej obawie przed przemocą. Nie myślą jednak o tym, jak wyeliminować przestępczość, lecz tylko jak wśród niej przeżyć, jak przesunąć ją na inną ulicę, pod inny dom lub pod inny sklep — byle jak najdalej od siebie.

(psk)

Z PAMIĘTNIKÓW

Jak drzewiej dzieci żeniono

Edward Rudnicki

BORÓW zaliczał się kiedyś do wiosek szlacheckich. Jeszcze dziś można tu dowiedzieć się, kto należy do dawnej szlachty, a kto do chłopów. Teraz jest to już tylko wspomnienie przeszłości. Ale kiedyś miało to poważne znaczenie życiowe.

Pamiętam byłego chłopa pańszczyźnianego, Jana Raczkowskiego. Pamiętam go jako staruszka pasającego krowę. Ja wtedy chodziłem do szkoły powszechnej.

Dziś już wnuki i prawnuki tamtego Raczkowskiego żyją w naszej wsi. Być może nie wiedzą o tym, że ich dziadek lub pradziadek odrabiał pańszczyznę u pana Jana Sobieszczańskiego. Pamiętam doskonale tego pana, pamiętam jego ojca, Antoniego Sobieszczańskiego.

Z opowiadań mojej babci, a szczególnie z opowiadań mojego ojca, pamiętam takie np. historyjki. Jeżeli pan Sobieszczański szedł drogą do kościoła lub do sklepu, a spotkał go Raczkowski, to tenże Raczkowski, czyli dawny chłop pańszczyźniany, zdejmował z daleka czapkę, nisko kłaniał się swojemu panu i podchodził do niego, aby ucałować go w rękę.

Mimo że pańszczyzna była już dawno zniesiona, a chłop pańszczyźniany, Jan Raczkowski, był bogatszy od swojego szlachcica, Antoniego, a później od jego syna, Jana Sobieszczańskiego, to jednak forma zachowania się pozostała taka, jaka była przed zniesieniem pańszczyzny.

Synowie i córki Jana Raczkowskiego już nie poniżały się tak w stosunku do dzieci Jana Sobieszczańskiego. Przeciwnie, nawet dawali im odczuć swoją „wyższość", byli bowiem zamożniejsi. Mieli trochę więcej ziemi i potrafili na niej lepiej gospodarzyć.

Drugim chłopem pańszczyźnianym, którego pamiętam, był Portka. Dopiero po drugiej wojnie światowej zostały rozebrane budynki, które postawił temu chłopu Tabiszewski, szlachcic z Borowa.

Opowiadano, że po ukazaniu się „ukazu" uwłaszczeniowego pan Tabiszewski chciał usunąć Portkę z tego kawałka ziemi, który uprawiał przed uwłaszczeniem i zaraz po uwłaszczeniu. Chciał dać chłopu inny kawałek, ale leżący dalej od wioski, na uboczu. Chłop nie zgodził się na to. Zgodnie bowiem z treścią „ukazu" miał prawo do własności tego kawałka ziemi, który obrabiał do czasu uwłaszczenia.

Spór toczył się przez pewien czas. Pan Tabiszewski rozebrał chatę chłopa i kazał mu się budować na innym miejscu. Portka wykorzystał okazję. Złożył skargę na ręce jakiegoś wysokiego dostojnika carskiego w Chełmie. Opowiadano, że to był sam car, który właśnie miał przejeżdżać przez to miasto. Sprawa nabrała takiego obrotu, że pan Tabiszewski musiał postawić nowe budynki w miejscu wskazanym przez chłopa. Całość była ładnie skomponowana i wykończona. Te zabudowania dotrwały do naszych czasów i dopiero teraz zostały rozebrane, bo na ich miejscu postawiono nowe, murowane. Tamte były drewniane i kryte słomą.

A oto nazwiska kilku rodzin zaliczanych do szlachty wsi Borów: Sobieszczańscy, Rudniccy, Rogowscy, Jarocy, Szypulscy, Wilczopolscy, Krzyżanowscy, Malczewscy, Gąsiorowscy, Baryccy, Kuśmierscy, Piaseccy.

W drodze ożenków i sprzedaży ziemi przybyło do wsi Borów sporo ludzi, którzy zaliczają się do chłopów, m. in.: Karol Kardyga i Stanisław Kardyga, Walenty Kryk, Franciszek Krzeszowiec, Ludwik Gdak, rodzina Chachajów, rodzina Mierzwy, rodzina Kołtunów, rodzina Tomalów, rodzina Kuczerów, rodzina Błasiaków, rodzina Stefańczyków i inni.

Aż do czasów drugiej wojny światowej ludzie w naszej wsi dzielili się na szlachtę i na chłopów. W czasie wojny już o tym nie myślano wiele, bo były inne sprawy bardziej interesujące wszystkich ludzi. Były też sprawy, które jednoczyły wieś w walce ze wspólnym wrogiem. Po wojnie podział ten jakoś sam się zaczął zacierać. Tylko starsze pokolenie jeszcze czasem wspomni coś na te tematy.

Ale przed drugą wojną światową podział na szlachtę i na chłopów — w naszej wsi, a nawet okolicy — był brany pod uwagę przy zawieraniu związków małżeńskich. Może nie wszyscy przywiązywali wagę do tych spraw, ale o tym mówiono. Rodzice moi dawali mi wskazówki życiowe różnych treści, a między innymi te z dziedziny „szlachta a chłopstwo". „Pamiętaj synu, że..."

Ja też wychowałem dzieci. Są już dorosłymi ludźmi. Dawałem im też wskazówki życiowe, ale na te tematy nie rozmawiałem z nimi ani razu. Nie widziałem celu, ani potrzeby.

Myślę, że podobnie postępuje większość obecnego pokolenia. Żenią się dziś dzieci z rodzin szlacheckich z tymi, którzy wywodzą się z rodzin chłopskich. Może nawet o tym nie wiedzą, nie biorą pod uwagę tych spraw. Liczą się inne względy, przede wszystkim wykształcenie i zamożność. Ale znam kilka rodzin, które akcentują swoje szlacheckie pochodzenie. I do tych z „chamów" odnoszą się z góry. [...]

Ożenek był i jest jednym z najważniejszych wydarzeń w życiu człowieka. Nic więc dziwnego, że rodzice pragną, by ich dzieci zawierały związki małżeńskie jak najkorzystniejsze. Właśnie w trosce o losy swoich dzieci rodzice najczęściej sami wybierali w tamtych czasach partnerów do małżeństwa. [...]

Tak też przedstawiała się sprawa ożenku mojego stryja Władysława. Był on najstarszym w rodzinie. Dziadek miał ośmiu synów i jedną córkę, która była najmłodszym dzieckiem. Kiedy Władysław miał już prawie 18 lat, wtedy dziadek postanowił ożenić go. Będąc na targu w Żółkiewce spotkał swego znajomego ze wsi Bobrowe. Ten pan pochodził też z rodu szlacheckiego, a więc pod tym względem sprawa była prosta. Pod względem zamożności byli także mniej więcej jednakowi. Ale różnica polegała na tym, że u dziadka było dużo dzieci, a u tego w Bobrowym tylko troje. A więc na córkę przypadło więcej morgów, aniżeli na dziadkowego syna. Ale przecież syn liczył się „drożej". Po uzgodnieniu pierwszych kroków wstępnych postanowiono doprowadzić do małżeństwa.

Dziadek zabrał swojego syna na wóz i pojechał z nim do Bobrowego. Tam już oczekiwali na ten przyjazd: zorganizowali przyjęcie, podczas którego uzgodniono pewne plany życiowe małżonków.

Za parę tygodni pojechali dać na „zapowiedzi". Oczywiście, o zdanie kandydatów na małżonków nie pytano.

Po ogłoszeniu „zapowiedzi" odbyło się wesele. Potem zaczęło się życie rodzinne młodego małżeństwa Władysławów. Ale było ono oryginalne.

Małżonek chodził spać na siano do stodoły, a jego żona spała w domu. Taki stan rzeczy trwał około roku. Dopiero jej rodzice, zaniepokojeni, zainteresowali sprawą jego ojca. Przyjechał odwiedzić syna, a jednocześnie zmienić ten sposób sypiania. W obecności obu rodziców musiał położyć się do łóżka z żoną; dopiero po tym ojcowie wyszli.

Ten szczegół znam z pamiętnika stryja. Stryj umarł około dziesięciu lat temu. Przeżył 92 lata. Jego najstarsza córka jest dziś pracownikiem Biblioteki Narodowej w Warszawie, ma ukończone wyższe studia i jest doktorem. To ona opiekowała się ojcem do samej śmierci. To ona pomagała mu w pisaniu wspomnień. Te wspomnienia czytałem.

Tu pragnę zaznaczyć, że stryj Władysław mieszkał u swoich teściów. To powodowało, że ciągle czuł się skrępowany. Poza tym jego żona była starsza od niego o około 9 lat. I chyba z tej przyczyny czuł się do niej onieśmielony. Po przełamaniu pierwszych „lodów" mieli troje dzieci. Najstarszym ich dzieckiem była właśnie ta Jadwiga, która pracuje w Warszawie. Drugim był syn; imienia nie pamiętam. Umarł mając 17 lat na gruźlicę płuc. Najmłodsza córka z tego małżeństwa wyszła za mąż i jest do tej pory na gospodarstwie swoich rodziców. Już ona jest babcią.

Drugie małżeństwo, które zostało w oryginalny sposób skojarzone, to małżeństwo Władysława Szajnoga. Jego rodzice mieszkali daleko poza wioską, w lesie. Tam mieli działkę ziemi, postawili ładne budynki i zagospodarzyli się. Mieli dwoje dzieci. Najstarszym synem był Władzio. Młodszym dzieckiem była córka. Imienia jej już nie pamiętam, pamiętam jedynie jej nazwisko po mężu: Kozdra.

We wsi Borów mieszkał pan Jerzycki, znany w szerokiej okolicy. Niejedno małżeństwo było dziełem jego kombinacji. Był s w a t e m. Umiał swatać pary małżeńskie. Znał wiele rodzin i wiedział o różnych sprawach matrymonialnych tych rodzin. A lubił interesować się tymi sprawami, więc nic dziwnego, że Władzio Szajnóg nie uszedł jego uwagi. Pewnego razu spotkał ojca Władzia Szajnoga. Z ojcem uzgodnił, że Władzia ożenią. Rodzice chłopaka obiecali odpowiednie wynagrodzenie panu Jerzyckiemu. Oczywiście, że rodzice panny także czymś odwdzięczyli wydanie ich córki za mąż. Już tak to w życiu bywa, że różni ludzie różnie zarabiają.

Pan Jerzycki miał parę ładnych koni i dobrze wyposażony wóz. Tymi końmi i tym wozem zawiózł wiele par małżeńskich do ślubu. Pewnej soboty przyjechał pan Jerzycki pod dom Szajnogów. Zabrał ojca, matkę i Władzia. Pojechali daleko, bo aż do Turobina, małej osady leżącej w pobliżu Janowa. Od Borowa do Turobina jest około 30 km, a więc jak na tamte czasy, to „świat drogi".

Wyjazd Władzia Szajnoga do panny w Turobinie był sensacją. Zapewne dziś wyjazd kawalera z Borowa do panny w Warszawie nie wywołałby takiego zainteresowania we wsi, jak wtedy wyjazd Władzia do małej osady. Sensacją było i to, że panna, do której Władzio udawał się w konkury, była nie byle kim, ale m ł y n a r z ó w n a, córką młynarza Budka. Budkówna — to przecież głośna panna! A tu Władzio Szajnóg, ten z lasu, do niej udaje się w zamiarach nie byle jakich. Jeżeli pojechał z nimi pan Jerzycki, to już to samo za siebie mówi wiele!

I o dziwo! Władzio został przyjęty. Panna podobała mu się. Podobno Władzio siedział po jednej stronie stołu, a panna po drugiej. Jej rodzice siedzieli przy niej, a jego rodzice przy nim. Pan Jerzycki zajmował stanowisko rozjemcy, czy doradcy. W rezultacie ustalono, że Władzio będzie się żenił. Uzgodniono, kto i ile da za swoim dzieckiem. Uzgodniono, że młode małżeństwo będzie mieszkać w Borowie, w domu rodziców Władzia. Uzgodniono wiano i posag oraz daty zapowiedzi i wesela.

Nie będę opisywał wszystkiego. Wspomnę jedynie to, że Władzio miał wtedy także 18 lat i po raz pierwszy kupili mu materiał w sklepie na ubranie ślubne. Do tej pory chodził w ubraniu szytym z lnianego i z konopnego płótna — swojej roboty. Ojciec Władzia był tkaczem, a Władzio także umiał tkać. Umiał też robić stolarkę. Był pojętny i, jak to się mówiło, miał złote ręce. Dom i jego wnętrze oraz zabudowania gospodarskie, płoty, ule, wozy, grabie, naczynia drewniane i wiele innych rzeczy, jakie były w gospodarstwie Szajnogów, były przede wszystkim dziełem Władzia. Był samoukiem, ale takim, który potrafi zrobić wiele.

Pan Jerzycki załatwiał sprawy o których Władzio nie miał pojęcia. Pan Jerzycki był znany księżom i organistom. Wiedział, gdzie się załatwia sprawy urzędowe. Wiedział, gdzie się „wyjmuje metrykę". Wiedział, gdzie się zapisuje akty małżeńskie itd. A Władzio robił wszystko to, co pan Jerzycki kazał robić. Uszył sobie ubranie z materiału sklepowego. Robił kiełbasy i kupował wódkę. Spraszał gości i szykował się do wesela.

Kiedy wreszcie nadszedł ten dzień, zebrali się ludzie i pojechali z Borowa do Turobina. Niejeden zazdrośnie patrzył na tych, którzy byli zaproszeni na takie wesele w mieście. A przecież młynarz to nie byle kto. Będzie wesele huczne.

I było huczne. Niemal wszyscy byli solidnie pijani. Najbardziej zaszkodziła wódka Władziowi. Podobno szedł do ślubu jakby nie na swoich nogach. Przecież ten człowiek najprawdopodobniej wtedy wypił pierwszy kieliszek wódki! Być może, że wiele więcej nie wypił w następnych latach swego życia.

Po przyjeździe do Borowa doszło do tragedii. Pani młoda nie chciała zejść z wozu. Błagała, aby jej nie zostawiano w lesie. Bała się, że tu kończy się świat i tu może wilki ją zjedzą. Wreszcie dała się jakoś przekonać. Znieśli ją na rękach do domu. Zobaczyła dom ładnie wykonany i czysty. Może tym dała się przekonać, że będzie jej tu dobrze. Chleba jej nie zabraknie, a nawet miodu będzie miała pod dostatkiem. Władzio był pasiecznikiem na dużą skalę... Wreszcie zgodziła się usiąść za stołem weselnym. Wtedy obudzili Władzia. Spał bowiem na wozie przez cały czas drogi z Turobina do Borowa. Przyszedł do mieszkania. Zobaczył i własnym oczom nie wierzył. Przecież on nie z tą niewiastą się żenił, którą teraz widzi za stołem. Podniósł krzyk, że został oszukany. Tamta była młoda i ładna. A ta wcale do tamtej nie jest podobna. Był przecież u panny dwa razy: wtedy, kiedy jeździł po raz pierwszy, i wtedy, kiedy dawali na „zapowiedzie". Przyjrzał się jej i wie na pewno, że była inna. On tej nie chce i nie będzie z nią żył. Niech się ona stąd wynosi!

I wtedy zaczęła się nowa rola pana Jerzyckiego. Musiał wytłumaczyć Władziowi całą sprawę. A sprawę przedstawił mu tak. Jego żona, którą tu widzi, w okresie konkurów była trochę chora. Więc jej rodzona siostra zastępowała ją wtedy, kiedy Władzio przyjeżdżał. Tamta rzeczywiście jest młoda, ma zaledwie piętnaście lat, a więc nie może jeszcze wychodzić za mąż. Ta ma już blisko trzydzieści, ale jest dobra gospodyni. A to, że nie jest piękna, to nie ma znaczenia. Niewiasty do barszczu się nie kładzie. A do takiej, jak jest, można się przyzwyczaić.

Ale Władzio nie chciał dać się przekonać. Tamta była ładna, a ta jest brzydal. „Ja jej nie chcę" — krzyczał i wyrywał się z rąk tych, którzy chcieli go jakoś posadzić obok żony.

Wreszcie użyto broni najcięższego kalibru. Pan Jerzycki oświadczył, że przywiezie księdza. A wiadomo, że na ślubie Władzio przysięgał. Teraz chce tę przysięgę złamać?! Co Bóg złączył, niech się człowiek nie waży rozłączyć! I rzeczywiście pan Jerzycki zaczął zakładać konie do wozu. Ludzie przycichli, a Władzio z niepokojem obserwował, co się dzieje. A widząc, że chyba rzeczywiście pojadą po księdza, przełamał swój upór. Usiadł obok żony. Wypił z nią wódki, a później pił coraz więc-

Dokończenie na str. 12

Dokończenie ze str. 1

z nakładami na gospodarkę komunalną, bez której nowe mieszkania nie mogłyby powstać i funkcjonować — 606 miliardów zł. Do tego trzeba jeszcze dodać kilka drobnych sum, przeznaczonych np. na produkcję podstawowego sprzętu wyposażenia mieszkań. W rezultacie doliczymy się, że co piąta złotówka z ogólnych nakładów inwestycyjnych przeznaczona jest na budownictwo mieszkaniowe. A więc 20 proc. W poprzedniej pięciolatce udział ten wynosił w ogólnych nakładach inwestycyjnych 13 proc., a w gospodarce uspołecznionej nieco więcej — 14,5 proc.

Uważny a myślący ekonomicznie czytelnik może tu zapytać: jeżeli w poprzedniej pięciolatce udział był tak niski, to dlaczego mówi się o dynamicznym rozwoju wszystkich gałęzi naszej gospodarki? Pytanie jest tylko pozornie słuszne. Po pierwsze — jeżeli chodzi o liczbę mieszkań oddawanych do użytku, to rosła ona nieustannie z roku na rok (od 191 tys. do 264 tys.), chociaż ten dział nie posiadał wówczas priorytetu. Po drugie — istniejąca w poprzednim okresie sytuacja (brak dostatecznego wyposażenia technicznego budownictwa, brak przygotowanej dokumentacji technicznej oraz uzbrojenia terenów itd.) uniemożliwiały natychmiastowe przystąpienie do ofensywy mieszkaniowej. W wielu gałęziach przemysłu produkcję można zwiększyć poważnie z miesiąca na miesiąc. W budownictwie i wszystkim, co je poprzedza, okres ten wynosi dwa, trzy lata.

Jak już wiemy, obecnie nie zabraknie środków na to, aby w pełni zrealizować zadania, nakreślone na VI, skonkretyzowane i rozszerzone na VII Zjeździe PZPR. A zadania te na bieżące pięciolecie przewidują zbudowanie co najmniej 1 575 tys. mieszkań. Jest to o 450 tys. więcej niż w ubiegłej pięciolatce, dość obfitej przecież jeżeli chodzi o budownictwo mieszkaniowe.

Jest to plan niewątpliwie trudny, ale konieczny do wykonania. Nie jest tajemnicą, że od lat w bardzo wielu spółdzielniach kolejka chętnych stale się wydłużała, bo potrzeby rosły jednak szybciej niż zwiększane nawet możliwości. W tych kolejkach ustawiał się nie tylko tzw. wyż demograficzny, ale także wielu innych kandydatów, którzy po prostu chcieli polepszyć swoje warunki. Albowiem to, co zadowalało ludzi w okresie międzywojennym, a nawet w dwóch pierwszych dziesięcioleciach naszej rzeczywistości, przestało już wystarczać. I to jest słuszne, chociaż wszystkim nam stwarza kłopoty i będzie je stwarzać jeszcze w początkowym okresie przyszłego dziesięciolecia.

Liczba 1 575 tys. nowych mieszkań oznacza przede wszystkim, że po raz pierwszy skróci się kolejka czekających. Na ich pełne zlikwidowanie trzeba poczekać do następnej pięciolatki. Ale świadomość, że nabrzmiewający od lat problem ulega już systematycznemu złagodzeniu raz jeszcze świadczy o słuszności naszej polityki społeczno-gospodarczej. Trzeba jednak dodać, że owa liczba nowych mieszkań nie stanowi wcale górnej granicy naszych możliwości. Mamy już w kraju sto fabryk domów, a z różnych względów, dających się przecież wyeliminować, nie wszystkie są w pełni wykorzystane. W roku 1980 będziemy mieli ich już 150, a lepsze niż dotąd opanowanie technologii wykonania i sprawniejsza organizacja pracy mogą w rzeczywistości oznaczać — na dzisiejsze warunki — 170 — 180 takich fabryk.

Są zresztą inne poważne rezerwy. Jak wynika ze sprawozdań Głównego Urzędu Statystycznego, w roku ubiegłym w wykonawstwie budowlanym

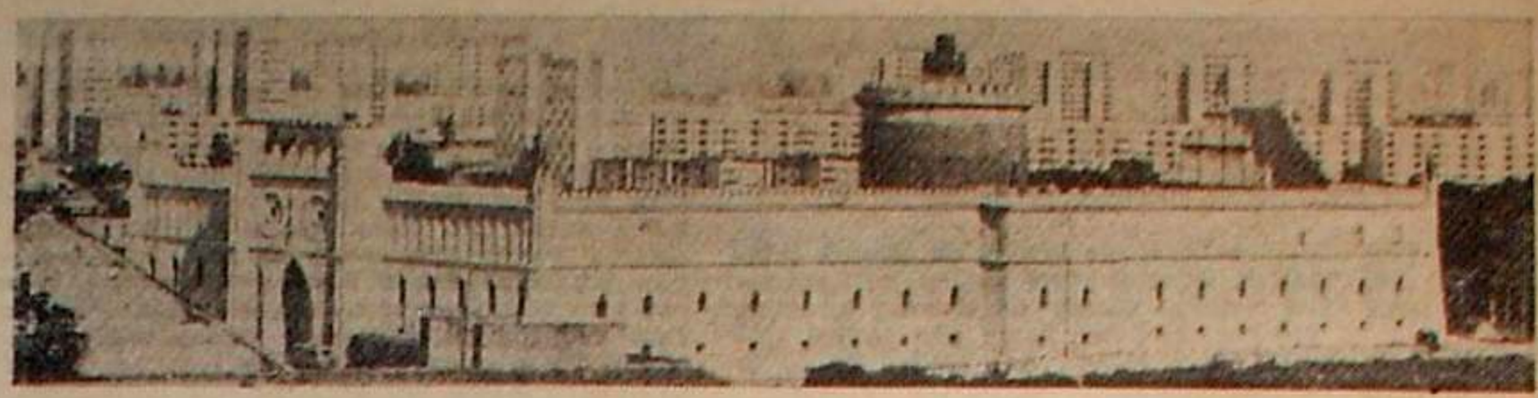

Fot. Stanisław Kosior

SKRACAMY KOLEJKI

zarejestrowano 12 milionów godzin pracy opuszczonych bez usprawiedliwienia. I nie chodzi tu o chłoporobotników, którzy nie pojawiają się na placach budowy w okresach siewów, żniw czy wykopków. Na te cele udzielane są oficjalnie urlopy okolicznościowe, gdy zainteresowany nie może wykorzystać normalnego urlopu. To po prostu zwykłe bumelki — jakaś fucha na boku, jedna butelka wina za dużo czy zwykłe lekceważenie pracy. Ekonomiści wyliczyli, że owe miliony straconych godzin to osiedle mieszkaniowe dla 40 tys. ludzi. Na nasz, lokalny język tłumacząc, w ciągu jednego tylko roku straciliśmy to, czym po dwudziestu latach dysponuje Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa. Czy przynajmniej nie można zmniejszyć ciężaru tej kuli u nogi, tak wydatnie niszczącej nasze możliwości?

Osobiście nie rozumiem, dlaczego jakoś niepostrzeżenie przemknęło w świadomości bardzo wielu ludzi stwierdzenie, zawarte w referacie na styczniowym Plenum KC PZPR w 1976 roku. Chodziło tu o nowy bodziec do rozwijania budownictwa mieszkaniowego, apel zaś był skierowany przede wszystkim, chociaż nie tylko, do dużych zakładów przemysłowych. Otóż stwierdzono wtedy, że fabryki, które zapewnią wysokie efekty produkcyjne nie tylko inwestycjami (chodziło głównie o roboty budowlano-montażowe przy wznoszeniu nowych obiektów), ale także modernizacją, będą mogły część zaoszczędzonych w ten sposób środków przeznaczyć na dodatkowe budownictwo mieszkaniowe dla swoich załóg.

To jest nowa wielka szansa. Ale w praktyce wygląda jednak na to, przynajmniej na naszym terenie, że ani dyrekcje, ani organizacje działające w tych przedsiębiorstwach zagadnieniem tym dotychczas się nie zajęły. A wielka szkoda. Fachowcy obliczył bowiem, że gdyby połowę inwestycji zastąpić modernizacjami, za zaoszczędzone środki znów można by wybudować co roku już 70 tys. mieszkań.

To tylko kilka przykładów, zresztą nie przeze mnie wyliczonych, jak wielkie są jeszcze możliwości. Czy i kiedy potrafimy je wykorzystać? Pesymistom można tu z góry odpowiedzieć, że np. zastąpienie części inwestycji modernizacjami oznacza w zysku nie tylko złotówki, ale — co najważniejsze — materiały budowlane i mityczną już u nas moc przerobową przedsiębiorstw budowlanych. A to zamienić w mieszkania nie jest trudno, chociaż równolegle konieczna jest w budownictwie lepsza organizacja pracy, przygotowanie dokładniejszej dokumentacji, większe uprawnienia i większa odpowiedzialność generalnego wykonawcy.

Głównym inwestorem w budownictwie mieszkaniowym jest spółdzielczość mieszkaniowa. Jej prehistoria sięga ponad pięćdziesiąt lat, ale okres historii współczesnej zaczął się dopiero przed dwudziestu laty. Zarówno w skali krajowej jak i naszej, regionalnej.

Pod koniec 1956 roku obradowało XI Plenum KC PZPR, które stworzyło szczególnie dogodne warunki dla rozwoju budownictwa spółdzielczego, stanowiącego do tego czasu wąski margines działalności inwestycyjnej. W dniach 28 i 29 grudnia tego roku odbył się w Warszawie zjazd delegatów spółdzielczości, na którym powołano Związek Spółdzielni Mieszkaniowych, uniezależniając się zarazem od dotychczasowego gestora — spółdzielczości pracy. Kilka lat później Związek został przemianowany na Centralny Związek Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego, istniejący do dzisiaj

Zaraz potem, bo w styczniu i lutym 1957 roku, rozpoczęły się w Lublinie nieoficjalne rozmowy w sprawie powołania nowej, dużej spółdzielni. Wreszcie 27 marca odbyło się już oficjalne zebranie organizacyjne, a 25 kwietnia założycielskie Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, do dzisiaj nie tylko największej w naszym regionie, ale i we współzawodnictwie krajowym zawsze przodującej, stanowiącej także piękną wizytówkę, chętnie pokazywaną zagranicznym delegacjom.

Warto podkreślić, że grupa pionierów LSM osobiście nie potrzebowała mieszkań i do dnia dzisiejszego żadna z tych osób nie mieszka w domach LSM. Była to więc działalność rzeczywiście społeczna, pełna wewnętrznego zaangażowania i chyba właśnie dzięki temu lubelska spółdzielczość mieszkaniowa zajęła w kraju wyjątkowo eksponowane miejsce. I druga rzecz wyjątkowa: pierwszy prezes, Stanisław Kukuryka, przez rok nie pobierał żadnych poborów, a pierwsi pracownicy przez kilka miesięcy.

Z okazji dwudziestolecia przypomnijmy nazwiska pionierów lubelskich: ówczesny wicedyrektor Dyrekcji Budowy Osiedli Robotniczych, obecnie wicedyrektor Dyrekcji Rozbudowy Miasta Lublina — Jerzy Biernacki, ówczesny wiceprzewodniczący WKPG, obecnie prezes LSM — Edward Fijałkowski, ówczesny kierownik Wydziału Budownictwa Wiejskiego Prez. WRN, obecnie prezes CZSBM w Warszawie — Stanisław Kukuryka, przedwojenny działacz spółdzielczy, obecnie emeryt — Lucjan Miketta, wiceprzewodniczący Prez. WRN, obecnie z-ca

Dokończenie ze str. 1

— Wystarczy, żeby sprzedał pół setki warchlaków i już ma spłacone 50 tysięcy. Ale w ubiegłym roku tyle właśnie Kuwałka stracił. Prosięta pozdychały mu, bo nie miał paszy. Startował w okresie największego kryzysu. Ostatnio zaczął bank oszukiwać i zamiast do GS-u woził warchlaki na targ, gdzie sprzedawał je drożej. Więc komornik zajął resztę jeszcze nie sprzedanych prosiaków, a Kuwałko został poproszony na rozmowę. Przyrzekł poprawę, więc trzeba było mu jeszcze dać ostatnią szansę przesuwając termin spłat do czasu, gdy maciory znowu zaczną się wypraszać.

Na górce, w szczerym polu, z dala od zabudowań, przystanek PKS. Kobiecina okutana w chustkę przytupuje na mrozie i rozmawia z mężczyzną w skórzanym płaszczu. Opodal stoi dziadek w watowanej uszatce.

— Gdzie tu zagroda Kuwałki?

— Tego, co żona w klubie pracuje? Prosto szosą kraśnicką, a za remizą skręcić w lewo.

— A po czym poznać gospodarstwo?

— Gospodarstwo — prycha z pogardą dziadek — kurcze, jakie gospodarstwo? Ruina.

I już wiem, że ta trójka się rozgada. Ile to gorzkich prawd o sąsiadach mówi się w gospodzie, sklepie i na przystanku PKS?

Kamena str. 4

— Jemu dyskoteka i straż pożarna, kurcze, w głowie. Świnie się w Sylwestra prosiły, a on tańcować poszedł. I locha mu kilka warchlaków zadusiła. Widział kto na wsi zabawę nad inwentarz przedkładać?

— Na polu chwast latem najdorodniejszy u niego. A buraki to zaorał, bo nie miał kto oplewić.

— Świniom jeść w blaszanym naczyniu daje. Baba jestem, a drewniane koryto bym zbiła.

Przez szpary między deskami przeciska się odgłos rżnięcia sieczki. Ujada pies, wrota stodoły się uchylają i wychodzi z nich mężczyzna z zawadiackim wąsem. Z wejrzenia watażka, z figury kowboj. Zaprasza do domu, co w czworoboku zabudowań postękuje od starości. Z klepiska ganku przez miniaturową kuchenkę przechodzimy do pokoju, który jest przechowalnią wszelakiego dobra. Na nowiuteńkiej lodówce telewizor, podeschła choinka obwieszona świecidełkami, kuchenka gazowa, widać nieużywana, dopiero co kupiona, tapczan z mnogością pierzatów. A wszystko to stłoczone na 12 metrach kwadratowych, tak że z trudem znajduję miejsce dla wysuniętego spod stołu krzesła.

- Ano, przyznać trzeba, z tymi lochami to nie za dobrze wyszło. A jak w gospodarce się nie szczęści, to i ochota do roboty odchodzi. Trzymał kiedyś, wtedy jeszcze pracował jako kierowca, siedem macior. Wydawało się, że doświadczenie ma, bo kilka lat temu nawet wziął nagrodę z Zakładów Mięsnych za dostarczone, zgodnie z umową, śliczne warchlaki. Więc jak teść odpisał żonie w 1974 roku gospodarkę, postanowił powiększyć produkcję. Wziął pożyczkę na budowę chlewni i w niecały rok budynek stanął w surowym stanie, jeszcze bez mechanizacji, z klepiskiem zamiast posadzek. Potem zgłosił kierowniczce służby rolnej w gminie Konopnica, że chciałby założyć hodowlę macior. Kierowniczka obejrzała chlewnię i wkrótce 20 loch zamieszkało w nowym budynku, a w banku spółdzielczym dług powiększył się o 80 tysięcy zł. Ale od początku mu się nie szczęściło. Najpierw, jakoś na początku ubiegłego roku, w ciągu tygodnia wszystkie maciory mu się wyprosiły. Jak w gminie załatwił sobie przydział na pasze treściwe, to akurat ktoś się włamał do budynku i nie mógł rozmówić się z sekretarzem. Dwa dni stracił, potem była awaria w „Bacutilu", wreszcie dał warchlakom otręby, pochorowały się na obrzękówkę i ze 180 prosiąt ocalało chyba coś ze 30. (Jego wyliczenia nie zgadzają się z informacją dyr. Ciska, ale macham ręką na tę nieścisłość).

Siwy koń

Idziemy za stodołę, gdzie stoi chlewnia z czerwono-białej cegły. Za wrotami otwiera się perspektywa na błotniste przejście między metalowymi barierkami. Prosiaki biegają wokół porzuconych bezładnie wanienek, miednic i wiader, zapadając się w grząskiej mazi. Lochy wylegują się w błocie. W kącie sucha wysepka wysłana słomą. Pod lampą wygrzewają się różowe warchlaki.

— Nie mogłoby być wszędzie tak sucho? — pytam naiwnie.

— Nie mam słomy na posłanie, paszy własnej też nie starcza z 4,5 hektara. Na takie gospodarstwo 20 loch to za dużo. Żeby choć mechanizacja była, posadzki, magazyn paszy, silosy, piwnice, woda. Sam człowiek by to obrządził.

— A żona?

— Żona do chlewni się nie wtrąca. Pracuje w klubie. Chora zresztą. Dziesięć kilogramów dźwignie i tydzień odchoruje. Dzieciaki to jeszcze drobiazg, córka ma dziesięć, syn osiem lat i żadnej z nich pociechy w gospodarstwie. A w zeszłym roku klub w Zemborzycach zajął trzecie miejsce w kraju za tworzenie powszechnego frontu przeciwpożarowego. Mojej też w tym jest trochę zasługi — dodaje skromnie — bo ja jestem naczelnikiem straży pożarnej. Społecznym, rzecz jasna.

Żegnamy się na drodze żłobionej koleinami.

— Jak pan się z tej biedy wykaraska?

— Jeszcze jest trochę dobytku do sprzedania. Dwie jałówki, byk, czternaście macior, trzy tuczniki i młody koń, siwek. Starszego konia zostawię,

dyrektora jednego z przedsiębiorstw w Warszawie — Bolesław Nazimek, kierownik Działu Budownictwa i Inwestycji WKPG, obecnie wiceprezes LSM — Wacław Rzeszutko, działacz ZSL, obecnie pracownik WK ZSL w Zamościu — Wojciech Woźniak.

Mimo wielu urzędowych i społecznych preferencji start nie był łatwy. W latach 1956 — 1960 spółdzielczość mieszkaniowa w kraju przekazała swoim członkom zaledwie 27 tys. mieszkań, w ostatniej pięciolatce 531 tys., a plan bieżącej przewiduje co najmniej 910 tys. W budynkach spółdzielczych mieszka dziś około 4,5 mln osób.

Jeżeli chodzi o dawne województwo lubelskie, dane liczbowe za pierwsze lata są niepełne. W każdym razie w latach 1959 — 1960 oddano do użytku około 1050 mieszkań, a w latach 1961 — 1965 około 5300.

Nowa struktura administracyjna województw, korzystna ze względu na bieżące efekty gospodarcze i społeczne, sprawiła jednak dużo kłopotu statystykom. Nie bez trudu udało mi się jednak uzyskać dane porównawcze naszych czterech województw. Oto liczby oddanych mieszkań w poszczególnych województwach w poprzedniej pięciolatce (na pierwszym miejscu) oraz plan na bieżącą (druga liczba): białskopodlaskie — 1392 i 3912, chełmskie — 1768 i 3790, lubelskie — 15 981 i 21 877, zamojskie — 1726 i 6000. W Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Siedlcach podano mi tylko plan bieżący — 6455 mieszkań, danych za poprzednią pięciolatkę nie przeliczono (co wydaje się dziwne, bo brak skali porównawczej).

Jak z tego widać, wzrost jest ogromny, największy w woj. zamojskim (prawie trzykrotny), które posiada w chwili obecnej jako jedyne w makroregionie czynną fabrykę domów. Mniejszą dynamikę, mniejszą także od przeciętnej krajowej, wykazuje tylko woj. lubelskie. Wynika to zarówno z poprzednich preferencji Lublina, jak i znacznie wyższego poziomu, a uzysk i tak będzie równy rekordowi woj. zamojskiego.

O spółdzielczości mieszkaniowej można pisać niemal bez końca. Chociażby o pracy społeczno-wychowawczej, która obok inwestycji stanowi najważniejszą formę jej działalności. W chwili obecnej prowadzi ona taką działalność w skali kraju w 74 domach kultury, 998 świetlicach, 311 bibliotekach, 558 pracowniach politechnicznych, 295 przedszkolach i ogniskach przedszkolnych, w ponad 1500 amatorskich zespołach artystycznych, na ponad 6000 boisk i placach zabaw.

Aby jednak czytelnicy nie pomyśleli, że z okazji dwudziestolecia piszę tylko o rzeczach dobrych, na zakończenie kilka uwag krytycznych. Przede wszystkim chodzi mi o to, że już nie tylko istniejące osiedla spółdzielcze, ale i znakomita większość budujących się jest podobna do siebie niemal jak jedna kropla wody do drugiej. Stosunkowo rzadko na deskach projektantów, a jeszcze rzadziej w praktyce, powstają osiedla mające jakąś własną twarz, indywidualny wyraz urbanistyczny i architektoniczny. Jakość robót wciąż nie jest dobra. Wobec członków spółdzielni odpowiedzialność za to ponoszą Wojewódzkie Spółdzielnie Mieszkaniowe, które wciąż jeszcze są zbyt słabym partnerem dla wykonawstwa budowlanego i pozwalają narzucać sobie najwygodniejszą dla tego wykonawstwa technologię. A także dziesiątki aneksów do zawartych już prawnie umów, wskutek czego pod koniec roku odbywa się prawdziwy taniec terminów zwłaszcza jeżeli chodzi o inwestycje towarzyszące, tak bardzo potrzebne mieszkającym już spółdzielcom. Ale o tych sprawach może innym razem i bardziej szczegółowo.

Jerzy Dostatni

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Zygmunt Ślusarski

DWUNASTEGO lutego 1977 roku zmarł w Lublinie Zygmunt Ślusarski, dyrektor Muzeum Okręgowego, archeolog, człowiek żywo uczestniczący w życiu kulturalnym i naukowym regionu. Absolwent UMCS, gdzie studiował archeologię pod kierunkiem prof. Stefana Noska, specjalizował się w badaniach neolitu, doprowadzając do interesujących odkryć w Lesie Stockim, Stoku oraz w Raciborowicach. W tej ostatniej miejscowości ustalił i badał największe w Polsce cmentarzysko kultury strzyżowskiej (z początków epoki brązu). Jako pierwszy po wojnie archeolog zatrudniony w Muzeum Okręgowym, utworzył dział archeologii w tej placówce. Ponadto organizował pierwsze wystawy archeologiczne w muzeach b. województwa lubelskiego. Chorował od dawna, lecz nigdy nie tracił pogody ducha, życzliwości dla ludzi, zachowując przy tym pewien dystans wobec własnej osoby, co zarówno w stosunkach służbowych jak i prywatnych zyskiwało Mu sympatię otoczenia. Zmarł w wieku 53 lat. Jego odejście to poważna strata dla środowiska kulturalnego Lubelszczyzny.

K.

Halina Chabros

TO amatorskie zdjęcie Haliny i Tadka Chabrosów zrobiłem latem 1971 roku w Kazimierzu. Nie ma już Ich między nami. Przed niecałym rokiem żegnaliśmy Tadka, teraz, w lutym — Halinę.

Cofam się pamięcią do lat pięćdziesiątych, kiedy to Halina, wówczas Szatkowska, kierowała „Życiem Lubelskim", mutacją „Życia Warszawy". Skromny zespół dziennikarski musiał codziennie przygotować pełną kolumnę druku i wieczorem wyekspediować teksty listem dworcowym do Warszawy. Halina dwoiła się i troiła, aby zdążyć na stację. Adiustowała w pośpiechu materiały i nie wiem, kiedy znajdowała czas, by jeszcze samej coś napisać. Dziennikarstwo było Jej pasją, redakcja wypełniała życie.

W tym czasie, choć już ze zdrowiem miała kłopoty, stale towarzyszył Jej dobry humor. Lubiła dowcipy, reagowała na nie żywiołowo, ale też szybko je zapominała. Zatelefonowała kiedyś do mnie mówiąc mniej więcej tak: „Słuchaj, wczoraj opowiadałeś taki fajny kawał, chciałam go dzisiaj powtórzyć, ale nie wiem, o co w nim chodziło..." „Halinko, to nie jest dowcip na telefon!..." „No powiedz, powiedz, nie wygłupiaj się..."

Kiedy pod koniec 1956 roku zarysowała się możliwość powstania w Lublinie samodzielnej gazety popołudniowej, Halina zapaliła się do tej idei. „Jej staraniom i zabiegom — napisał „Kurier Lubelski" 14 ub. m. we wspomnieniu pośmiertnym — w dużej mierze zawdzięczać należy pozytywne decyzje, jakie zapadły w tej sprawie. W pierwszym najtrudniejszym okresie organizowania z niczego skomplikowanego organizmu gazety, redagowania jej bez dostatecznego doświadczenia edytorskiego, środków materialnych, wypracowanych form organizacyjnych pełniła trudną, odpowiedzialną funkcję zastępcy redaktora naczelnego".

Funkcję tę umiała godzić z pracą publicystyczną, której później poświęciła się całkowicie. Bliskie Jej były sprawy ludzkie, zwłaszcza te najbardziej nabrzmiałe. Starała się rzecz doprowadzić do końca argumentując nie tylko na łamach gazety. W razie potrzeby umiała trafić bezpośrednio do tych, od których decyzji zależało pozytywne załatwienie problemu, naprawienie czyjejś krzywdy.

Trudno mi w tej chwili stwierdzić, kiedy nieco bliżej związała się z „Kameną". W każdym razie żywo interesowały Ją przemiany zachodzące w naszym piśmie. Był czas gdy sondowała możliwość przejścia do na na stałe. „Halinko, gdzie ci będzie lepiej niż w „Kurierze"? — pytałem Ją wówczas nieco żartobliwie, zdając sobie sprawę z naszych trudności etatowych. Wiedziałem przy tym, że niełatwo byłoby Jej — dziennikarce z urodzenia — związać się z dwutygodnikiem. „Ale przyjmiecie moje artykuły?" „Oczywiście".

I Halina pisywała do „Kameny". Najwięcej o Nałęczowie, o służbie zdrowia, niekiedy kontrowersyjnie. Ba, kto lepiej od Niej, z konieczności obracającej się coraz bardziej w środowisku lekarskim, znał problemy lubelskiej medycyny? „Nie o wszystkim, niestety, mogę napisać" — twierdziła, prosząc przy okazji o szklankę wody do popicia kolejnej pigułki...

Spod Jej pióra — to już osobna historia — wyszedł m. in. drukowany w „Kamenie" wywiad z Marią Kuncewiczową, której twórczość tak ceniła.

Śmierć męża, Tadeusza, Halina przeżyła bardzo boleśnie. Nie była na pogrzebie, zabrano Ją do szpitala, stan Jej zdrowia gwałtownie się pogorszył. Ona, która przez lata umiała walczyć ze swoją chorobą, jakby załamała się psychicznie. Ale jeszcze przed śmiercią gromadziła okruchy twórczości Tadka, starając się, by pamięć po nim nie zginęła.

Odeszła 12 lutego. Żegnał Ją tłum przyjaciół, znajomych i tych, którzy znali jedynie Jej publicystykę. „Halinko, umiałaś żyć, ale i spalałaś się życiem" — powiedział na pogrzebie Leszek Gnot załamującym się głosem.

Halina nie doczekała 20-lecia swej gazety. A byłoby to i Jej bardzo osobiste święto.

M. A. Jaw.

szczęście przynosi

żeby było czym obrobić gospodarstwo. Potem zaciągnie się kredyt na mechanizację. Jeśli bank da; oczywiście. A jak już z długów wyjdę, to wielkiej hodowli na pewno nie założę. Ot tyle, żeby własnych pasz wystarczyło.

W Urzędzie Gminy w Konopnicy kierowniczka służby rolnej, Maria Rogalska, jak to kobieta, nie potrafi ukryć rozgoryczenia. Pomyliła się, przyznaje, osiem lat na tym terenie pracuje, ludzi zna, a dała się nabrać. Teraz żal patrzeć. Lochy suche, jak szczury. Coś jej się wydaje, że nic z tej hodowli nie wyjdzie. Ale jak ktoś ma piasek za rękawami...

— Były trudności z paszami, akurat wtedy startował, nie wyszło mu — argumentuje rzeczowo naczelnik Cegiarski. — Trafił na ciężki rok, to nawet w statystykach widać. W 1975 r. było w gminie 11 988 sztuk trzody chlewnej, a w 1976 r. już tylko 8 289. Przecież przez pasze pogłowie spadło. Trzeba Kuwałce w tym roku dać szansę...

— A Sieńko, Czobot, Puchała z Pawlina, Mącik z Zemborzyc, Brodziak z Kozubszczyzny jakoś sobie dawali radę?

Sieńko nawet w całym województwie okazał się najlepszy i został mistrzem produkcji zwierzęcej. A trzecie miejsce zajął Brodziak z Kozubszczyzny i to rolnik, co ani ziemi od Kuwałki nie ma więcej, a chlewnię to nawet gorszą ma, bo starą.

Na Kozubszczyznę wyprawiliśmy się z instruktorem służby rolnej, Wojtkiem Sieńką. Nowy, cenny nabytek gminy. Prosto z wojska przyszedł do pracy i natychmiast rozpoczął studia na Akademii Rolniczej. Po tym, że obok dużego, parterowego domu stoi seledynowy „Tarpan", pan Wojtek poznaje, że Ryszard Brodziak jest w domu.

Gospodarz wita nas w korytarzu, gdzie rejestruję szybko: piec do centralnego ogrzewania, oparte o ścianę narty i kilka par łyżew.

Pada banalne pytanie:

— Co słychać?

— A leci. Ze świńmi się żyje. Znowu całą noc przesiedziałem w chlewni, bo mi się maciora prosiła.

— Magnetofon pan jednak kupił? — pyta pan Wojtek, choć nowy nabytek wcale nie rzuca się w oczy.

— Obiecałem córce, dobrze się uczy, niech ma. Córka teraz jest w VII klasie, a syn w IV. Ale syn, skubany, nie chce się uczyć. Wczoraj zapomniał, że ma na ósmą i poszedł na jedenastą do szkoły. A na łyżwy, skubany, pójść to nie zapomni.

Przechodzimy na podwórze tradycyjnie zabudowane w czworokąt. Bieleje obok poczerniałych desek stodoły nowy budynek gospodarczy z letnią kuchnią, co komu innemu mogła by służyć za mieszkanie. Obora stara, ale murowana. Woda podłączona, parnik elektryczny jest, to nakarmić świnie łatwo. Gorzej z uprzątaniem nawozu, bo mają do tego tylko ręce i taczki. Żona dużo pomaga, ba, czasem więcej od niego tu robi. Dzieciaki też zagania do roboty. Niech wiedzą, że nie ma lekko. W żniwa stawiają snopki i oboje ciągnikiem jeżdżą. Nieraz to awantura idzie o to, które ma siąść za kierownicą. Ma, oczywiście ciągnik, wszystkie maszyny. A w 1960 roku, kiedy objął gospodarstwo po śmierci ojca, miał tylko dwa konie. Prędki jest, niecierpliwy, nigdy na miejscu usiedzieć nie mógł. A przy świniach już chyba będzie się specjalizował. Ma teraz trzynaście loch, uprawia swoje cztery hektary i cudze dwa i pół ha. Chciałby dojść do dwudziestu loch, ale wtedy trzeba byłoby dokupić ziemi. Dopiero poszłaby produkcja pełną gębą. Na wiosnę zacznie rozbudowę i modernizację chlewni. Zagrody typu duńskiego i szwedzkiego, wentylacja, mechanizacja, kto wie, czy ścian kafelkami nie wyłoży. Na razie skóra cierpnie. To już trzeci rok budowy. Znowu kredyt trzeba zaciągnąć i nowy kłopot spadnie na głowę.

Zaglądamy do chlewni. Posadzki wyczyszczone, w kącie przy wejściu stoi łaciata krowa i siwy koń.

— Krowę chętnie bym sprzedał. Byłaby tylko jedna robota koło świń. A konia trzymam tak, żeby polatał, choć ludzie mówią, że gdzie siwy koń tam straszna bieda — śmieje się gospodarz.

— A ja słyszałem — mówi pan Wojtek — że siwy koń szczęście przynosi.

Małgorzata Sawicka

Fot. Bartłomiej Wieczorek

Aleksander Rozenfeld

Janowi Dzierżawskiemu

PROLOG

bo wiersz jest bez względu na to co powie o nim
dyrektor czy majster
jest białym bandażem na wrzodziejące rany
jest tych ran ciągłym rozdrapywaniem
jest maścią gojącą jest też zaognianiem sytuacji
z której powstaje
wiersz nie może być głaskaniem po głowie
ani też notesem drgnień serca jeśli to iskra
z której rozgorzeje płomień jeśli to płomieniem
z którego powstanie wielkie ognisko
w którym poeta razem z wierszem spłonie

I

przyjęli mnie jak swego przywitali chlebem solą
wysłuchaj nas poeto myśmy solą tej ziemi
z jednej jesteśmy gliny ty w słowie lepisz kształt jutra
my zwały ziemi odkuwamy ze zmarzniętej gleby
by dywan przyszłości utkać

II

Janie
Polska rośnie
na bełchatowskich piachach widzimy obaj
rysujący się kształt przyszłego
jak mam cię opowiedzieć metafora tutaj nic nie da
ty jesteś
Polska nasza Polska
dla innych jest przeszłością
dla twojej małej przyszłością dla nas obu
trudnym bardzo trudnym dzisiejszym dniem

JAN

– Tam, gdzie widziałem, że zadanie, które miałem do zrobienia, wykonałem, uciekałem dalej przed siebie. Tam, gdzie coś nowego – zaczynałem...

III

świat opowiedzieć dłonią napisać tak mało by już nic
nie zostało do skreślenia powiedzieć tak dużo
by już nikt nic nie miał do powiedzenia

IV

I drzewo rośnie drzewo szumi
nic nie wie o swym przeznaczeniu
ja nie opowiem bólu drzewa
gdy z piłą drwal podchodzi cicho
jak nie opowiem co Jan mówił gdy z błotem musiał
bić się nad Solną

JAN

– Gdańsk, Nowa Huta, Jaworzno, Turoszów, Solina, Włocławek, Kozienice, Puławy... – tu w Bełchatowie doczekam emerytury...

V

kaleki jestem, gdy giętkość mowy
przychodzi zamienić
w kwietność wiosennienie
jak nie potrafię zapiać lirycznie
nad ludem polskim
że bitny wspaniały
tak też za żadną cenę bym nie chciał
w hasła zamienić wiersza poematu

JAN

– Ja jestem człowiekiem szybkiej decyzji. Nie chcą mnie tu, idę tam, gdzie mnie zechcą. Mam świadomość, że nie jestem najłatwiejszy, ale u mnie jest tak, robota to robota, dowcip też sobie cenię, ale nie znoszę, jak ktoś koło mnie się opieprza, a ja za tego kogoś muszę robić...

VI

Janie
poprowadziłbym cię po poezji włościach
jak ty mnie wprowadziłeś w swoje życie
lecz me nogi chrome ugrzęzłyby w wielosłowiu
ty sam jesteś wierszem najprawdziwszym

JAN

– Ukochałem ryzyko. Tylko w ryzyku istnieje szansa niebanalnego rozwiązania, szansa własnego pójścia do przodu...

MOJA ROZMOWA Z JANEM

VII

to ty jesteś Polska
nie ta plakatowo biało-czerwona
nie na koturnach i wysokim timbre
jesteś zwyczajny nawet w ułomnościach
zazdroszczę ci wad twoich
jak innym talentu
jak prawdę powiedzieć najczystszą prawdziwą
pomóż mi Polsko opisać twych synów
tak by była to z prawd najoczywistsza
nic w zamian obiecać ci nie mogę prócz
wiersza uczciwości braku kłamstwa i szyfru
pomóż mi Polsko z ofiary pragnienia uczynić realne
by dotknąwszy każdy mógł powiedzieć
tu ja jestem to jest o mnie

JAN

– Dla mnie Polska, no widzisz, partyzantka w lesie. Polska to Bełchatów, tu już osiądę na stałe, tutaj mnie i ze mnie będzie najwięcej, tu się dzieją rzeczy wielkie. Takiego drugiego miejsca na mapie nie ma no, bo pomyśl...

•

zachwyt wami i lęk chcę opisać
że nie nadążam za waszym krokiem pośpiesznym
i boję się o nieautentyczność zapisu
mam wielką wiarę w nośność poezji i strach
że nie dotrze do tych dla których piszę
a mimo to Janie wierzę w słowa odnowienie
ducha potęgę szansę idei

•

prawie każdy myśli że teraz
jak się wejdzie pomiędzy robotników
to oni rubaszni są
maciami rzucają na dziwki popatrzeć
zjeść wypić zarobić aby nic nie robić
a ja odkryłem nagle wielkość sprawy
delikatność uczuć nic ze stereotypu człowiek pełny
oczy szeroko otwarte w kaszę nie da sobie dmuchać

•

w wielu bełchatowskich chałupach
brud i smród fekalia przelewają się z
szamba na podwórka z okienek opadłych ku jezdni
patrzą miejscowi na nowe bloki
patrzą ku rogatkom skąd do miasta ciągną
coraz to nowi spoglądają miejscowi i myślą
choć głośno jeszcze powiedzieć się boją
rośnie nam to szybko ku niebu trzeba nam będzie
niedługo okulary kupić
przyjrzeć się przejrzeć dojrzeć ku nowemu

•

idziemy do przodu na czwartym biegu
i trudno by było wrzucić wsteczny bieg
kierowca chce wciąż szybciej i szybciej
pcha nas głosem zdrowego rozsądku
ale w tej wspaniałej machinie
coraz to coś zgrzyta przeszkadzają nam części maszyny
zużyte pozbawione wyobraźni dobrze im jak jest
trzeba by paliwa lepszego oleju nie tylko do maszyn
by mniej w machinie zgrzytało
czasem wystarczy na chwilę zdjąć nogę z pedału gazu
rozejrzeć się.

•

potworny ryk jak gdyby stado słoni uciekało przed safari
w przecince lasu ułożone betonowe płyty po których chłopcy
prowadzą ciężarówki w nieznaną bliżej przyszłość
kilkaset hektarów lasu złożyło swą głowę na ołtarzu przyszłego
tu się buduje jutrzejszego człowieka
Jan jak ogromne drzewo
patrzy na młodszych czyta z wykarczowanego obszaru
ogrom jutrzejszego czasu.

EPILOG

wybrałem
pomiędzy ograniczającym widokiem z okna
a wyjściem z domu
pomiędzy szperaniem we własnym wątpliwym wnętrzu
a szukaniem u ludzi czegoś
czego brakuje w oddechu
pomiędzy nijaką twarzą własnych wierszy
a uśmiechem kogoś kto wierszy nie pisze
wybrałem
pomiędzy jazgotem wielkomiejskich bywalców
a autentycznym istnieniem
pomiędzy pomnikiem a kimś żywym prawdziwie
i wiem
mimo że słowo tak bardzo straciło na znaczeniu
zawołam
jest zmęczenie i ogromna radość
jak po zdjęciu gumiaków z opuchniętych nóg
jak sen ożywczy po morderczym dniu
wybrałem zmęczenie

Bełchatów Lublin
Marzec kwiecień 1976

(Fragmenty poematu)

OKO-LICE SZTU-KI

„Niemodne tematy" Zugaja

Z OKAZJI dwudziestolecia swojej twórczości Zbigniew Zugaj pokazał w lubelskim BWA duże pejzaże fotograficzne: bromowe, błyszczące, bez żadnych kombinacji technicznych, a na domiar wszystkiego czytelne, przedstawiające wizerunki: Roztocza, okolic Kazimierza, Kraśnika i innych miejscowości dawnej Lubelszczyzny. Na jubileuszach występuje się zazwyczaj dostojnie, retrospektywnie, wypinając biust do medali, a tu tymczasem, owszem, znajdujemy trochę wspomnień, ale tylko z jednego okresu, który na domiar wszystkiego na dzisiejszym rynku artystycznym się właściwie nie liczy. Rozumiem jeszcze, że Zugajowi na medalach nie zależy, bo w Polsce (oczywiście poza Lublinem), Czechosłowacji, w Hiszpanii, NRD i Argentynie otrzymał ich wiele, może nawet ze dwa kilogramy, wieńcząc to wszystko w 1972 roku złotą odznaką FIAP, której przyznanie było równoznaczne z przyjęciem lubelskiego twórcy do tej międzynarodowej organizacji fotografii artystycznej. Ale dlaczego nie wycelował w publiczność czymś absolutnie n o w y m i będącym np. na kursie refleksji semantycznej, językowej, tak totalnie rządzącym poczynaniami środowiska związanego z łódzką szkołą filmową i Zbigniewem Dłubakiem?! Przecież dzisiaj nie ma sukcesu i prestiżu ten, kto nie bada przy pomocy środków fotograficznych, no, chociażby: taútologi, pojęcia nieskończoności, korelacji czasu i przestrzeni, słowem — w pewnych bardzo głośnych i dość wpływowych kręgach rodzimej fotografii nie ma racji bytu człowiek, który miast w sposób żenująco naiwny oddawać się wizualizacji podstawowych terminów z językoznawstwa i filozofii idealizmu subiektywnego czy fenomenologii, próbując prostokątnym zdjęciem wyrażać swoje osobiste, intuicyjne przeżycie świata, choćby pejzażu. Co prawda Adam Bujak kpi sobie w żywe obiektywy z owych konceptualistów kamery, ale przecież on się za bardzo nie liczy, bo zyskał wielki sukces w USA, wielką popularność w amerykańskim społeczeństwie: fotografiami gminnego i zanikającego sacrum, procesji z chorągwiami, ludzkiego zauroczenia teatrem mitycznych bohaterów. Wybaczono by Bujakowi, że w Stanach, nie wybaczą mu, że popularny.

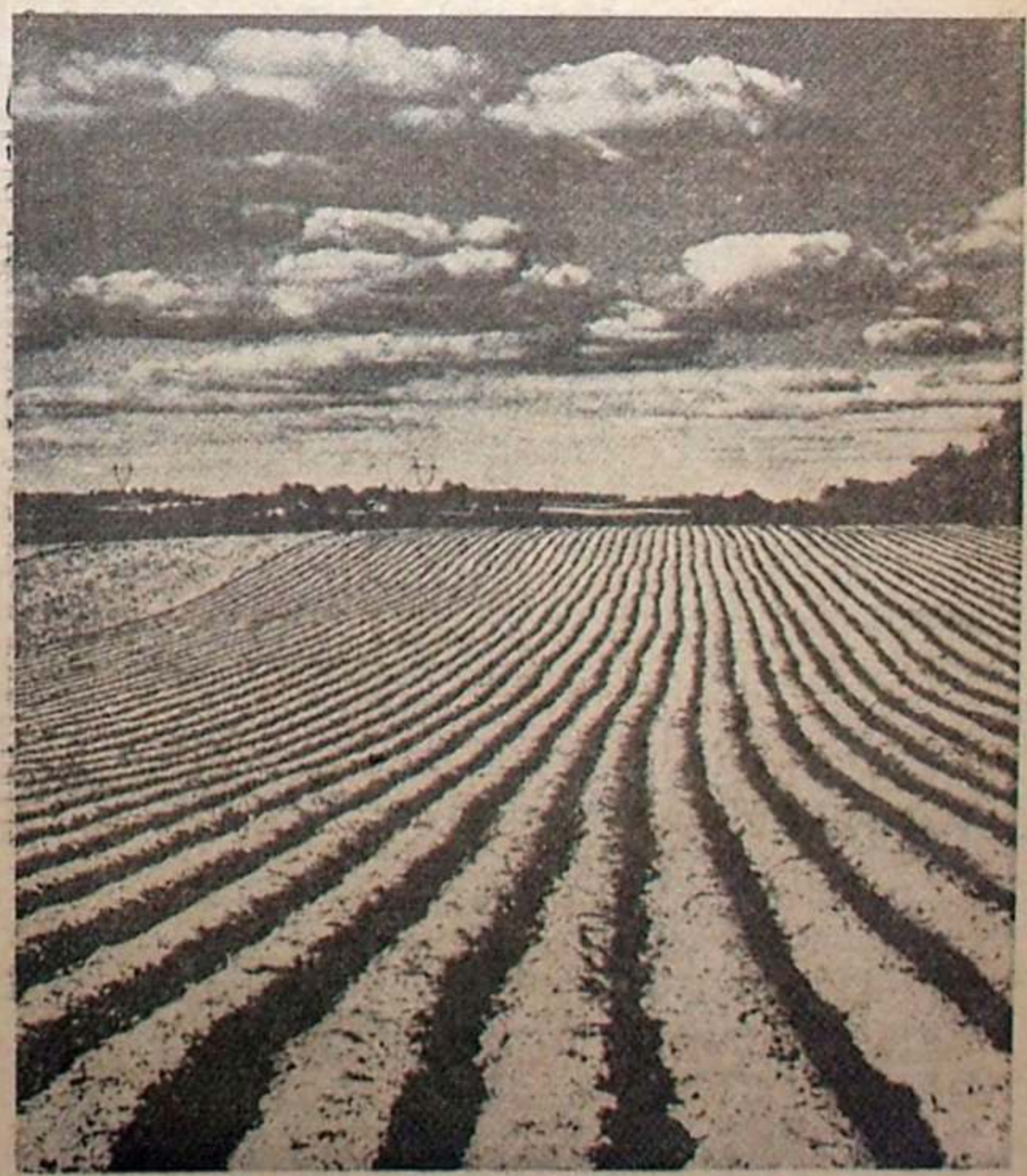

Kamena str. 6

HRUBIESZÓW TERAZ

Maciej Podgórski

W HRUBIESZOWIE jeszcze nie wystygły ślady niedawnej przeszłości powiatowej miasteczka. Szyldy, na których świeżo zamalowano przymiotnik „powiatowy". Neon „PZGS" nad sklepem Gminnej Spółdzielni. Neonu już się nie zapala, ale nikt go jakoś nie zdejmuje — twierdzi sprzedawczyni. Może czegoś żal?

Liczący 17,5 tysiąca mieszkańców Hrubieszów przestał być miastem powiatowym, a nie miał szans zostać miastem nowo-wojewódzkim. Leży obecnie w obrębie województwa zamojskiego, i chodzą słuchy, że o meble, dywany i firanki administracji powiatowej toczył się bój między Urzędem Miejskim w Hrubieszowie, a Urzędem Wojewódzkim w Zamościu. Wygrał, oczywiście, partner silniejszy, czyli zamojska metropolia. Ale ogromną palmę udało się hrubieszowianom uratować, może dlatego, iż nie mieściła się w ciężarowym samochodzie. Stoi teraz w gabinecie Stanisława Pawłosia, naczelnika miasta.

W ślad za dywanami i stołkami z pomieszczeń administracji powiatowej opuściło Hrubieszów sporo kadry, fachowców ze studiami. Przeszli do Zamościa głównie, choć trochę osób do Chełma, również miasta wojewódzkiego. Początkowo dwa specjalne autokary woziły kadrę, mieszkającą w Hrubieszowie, do pracy w Zamościu. Teraz już kursuje tylko jeden autokar, bo część dojeżdżających otrzymała w Zamościu mieszkania.

Był na przykład architekt w Hrubieszowie, a obecnie nie ma architekta. Jest inspektor do spraw budownictwa. Przydałby się też plastyk zawodowy, którego nie było, nie ma i raczej nie będzie, skoro „powiat odszedł". A w Hrubieszowie mają problem i ambicje upiększania miasta, program estetyzacji niejako, tylko z kim na miejscu uzgadniać kolorystykę elewacji? Pocieszam ich, że i Lublinowi brakuje plastyka miejskiego...

W centrum Hrubieszowa stoi przepiękna cerkiew, dosyć już, niestety, podniszczona. Miejscowy Zespół Usług Projektowych opracował kosztorys renowacji obiektu na kwotę 6,5 miliona złotych. Cerkiew jako przyszłościowa wizja „perły budownictwa sakralnego". W ślad za kosztorysem pojawiły się pieniądze, na razie 560 tysięcy złotych z planu centralnego, przekazane na remont obiektu wojewodzie zamojskiemu, który je scedował na naczelnika Hrubieszowa. Wszystko pięknie, tylko że naczelnik nie ma kim tego „przerobić", „mocy" brak, prace idą wolno, pop coś tam na własną rękę remontuje ze środków parafii prawosławnej, i miasto coś...

— Profesor Zin zawsze podkreśla, że pochodzi z Hrubieszowa, ale cerkiew naszą zaniedbał — powiadają jedni.

— Zabytkowy dworek, gdzie się mieści muzeum, przejęła zamojska PKZ, to niechby i cerkiewkę przejęła — mówią inni.

Przez cały okres powojenny, do 1975 r., zbudowano w Hrubieszowie raptem 1200 mieszkań, w tym 500 w latach 1970—1975. Na lata 1976—1980 plan zakłada budowę 1200 mieszkań. Już z tego widać, że lokalne frustracje postpowiatowe, z którymi się stykam od początku pobytu w mieście, nie całkiem mają rację istnienia. Zaś plan budownictwa miejskiego w Hrubieszowie został zatwierdzony na sekretariacie wyjazdowym zamojskiego KW PZPR.

— Dobrze, dobrze — zwracają mi uwagę kompetentni hrubieszowianie — ale ten plan zakłada budowę około 250 mieszkań rocznie. Tymczasem zanosi się, iż w 1977 roku uzyskamy jedynie 40 mieszkań, natomiast w 1978 roku najwyżej 100 wyskoczy. Zamojskie Przedsiębiorstwo Budowlane, które u nas stawia bloki mieszkaniowe, ma ograniczone możliwości i pilniejsze, widać, zadania w samym Zamościu.

A potem słyszę, że buduje się na przykład reprezentacyjną szkołę zbiorczą, jeszcze z ambicji powiatowych wyrosłą, przy której miała być imponująca hala sportowa. Zaczął „odchodzić powiat", a wraz z nim i hala sportowa. Trzy razy przeprojektowywano dokumentację, aż z hali sportowej ostała się tylko sala gimnastyczna, szczęściem pełnowymiarowa, lecz co to za pociecha?

Słucham tych wywodów i przypomina mi się szkoła zbiorcza w Janowcu, gdzie odbywała się wojewódzka inauguracja roku szkolnego 1976/77. Obiekt kompleksowy, wielki, pięknie pod względem architektonicznym rozplanowany. Słowem — pokazowa szkoła przyszłości na terenie województwa lubelskiego. I co? Ano tyle, że nikt nie pomyślał o zbudowaniu basenu krytego czy choćby otwartego! Podobnie i w Hrubieszowie. Nikt nie mógł sobie nawet przypomnieć, czy ambicje powiatowe sięgały basenu przy planowanej szkole. Basenu więc nie będzie na razie, bo go dotąd nie było. Szkoła zaś została zaakceptowana przez ministra Kuberskiego, gdy przebywał w Zamościu na początku br.

Był powiat, nie ma powiatu. Stare województwo. Nowe województwo. Nie o to przecież idzie. Bo zestawiony przykład obu szkół pokazuje, iż chodzi tu przede wszystkim o wyobraźnię, zdolność przewidywania, szerokość myślenia. A tego może zabraknąć niezależnie od wysokości szczebla administracji.

Mój boże, czasem rzecz się rozbija jedynie o brak zwykłego zdrowego rozsądku. Hrubieszów oglądałem dwa lata temu jesienią oraz — ostatnio — podczas tej błotnistej zimy. I zawsze sprawiał on wrażenie miasteczka taplającego się w dopustach atmosferycznych — wodzie, śnieżnej mazi. Ongiś mój kolega redakcyjny nazwał jedną z ulic „hrubieszowskim safari", co teraz mi przypomniano. Może oni nie dbają o drogi i ulice?

W Urzędzie Miejskim uzyskuję dane na temat inwestycji komunalnych ogółem. Nakłady rosną z około 12 milionów złotych w 1974 roku do około 28 milionów w 1976 roku. Na 46,8 km

Dokończenie na str. 12

Cerkiew

Fot. Zbigniew Jaśkiewicz

Wystawiając fotografie pejzażowe Zbigniew Zugaj naraził się zatem temu i owemu, a na pewno naraził się na zarzut tradycjonalizmu artystycznego. Nic to, że tak świetnych zdjęć pejzażowych dawno nie było nam dane oglądać na wystawach. Nic to, że te fotografie wciągają nawet przeciętnie ważliwego człowieka w sferę swojego świata, odkrywając mu na nowo monumentalną dramaturgię przyrody, której przecież jesteśmy braćmi, czy raczej: dziećmi. Nic to, że dzięki takiej twórczości Zugaja — romantycznej, emocjonalnej, eksponującej jedność Nieba i Ziemi — odczuwamy wspólnotę z naturą.

W tej sytuacji jedynym ratunkiem artysty byłoby przyznanie się publiczne, że on po prostu sobie zażartował, przymrużył oko, czy wystąpił z czymś takim w celach relaksowych. Obawiam się jednak, że nie doczekamy się takiego oświadczenia, bo Zugaj zbyt poważnie traktuje swoją twórczość.

Działając w Lublinie ponad dwadzieścia lat, zawsze występował w roli animatora środowiska, który przecież nie ograniczał się do aktywności na lokalnym podwórku. W 1956 roku należał do grupy „Plama", następnie był członkiem „Zamku". Zajmował się reportażem, przyczyniając się obok A. Polakowskiego do upowszechnienia tego gatunku w Lublinie. Zawsze przecież ujawniał skłonności do konstrukcji metaforycznych, widząc w tej operacji najlepszą technikę zbliżania się do prawdy: indywidualnej, społecznej, sytuacyjnej. Jego zdjęcia Zakładów Azotowych w Puławach czy cementowni w Chełmie to apoteoza wielkiego przemysłu, ale w poszczególnych pracach odnajdziemy nutę autorskiego zaniepokojenia tym światem. Warto przypomnieć, że cykle te powstały po połowie lat sześćdziesiątych, kiedy sztuka polska niemal bez reszty fascynowała się nową techniką.

Na początku obecnej dekady Zugaj zainteresował się tzw. fotografią subiektywną, opierającą się m. in. właśnie na rozbudowanej metaforze. Związanie się z tą orientacją wypada zatem uznać za naturalną konsekwencję dotychczasowej twórczości Zbigniewa Zugaja. Wraz z młodszymi kolegami artysta doprowadził wówczas do tego, że Lublin zaczynał być traktowany jako jeden z ważniejszych ośrodków nowej fotografii w Polsce. Ani przed tym, ani po tym okresie nie było w Lublinie tylu interesujących i wzbudzających dyskusje pokazów fotografii.

Aż tu nagle, ponad dwa lata temu, Zugaj wycofał się z tego nurtu. Bo nie akceptował tendencji, która wywodząc się z kręgu wspomnianego subiektywizmu zmierzała do zniszczenia fotografii jako środka indywidualnej ekspresji opartej na intuicji, na jednostkowym przeżywaniu i wyrażaniu świata, podnosząc zarazem opozycyjną ideę fotografii jako narzędzia niemal naukowego poznania. Praktycznie Zugaj przestał zajmować się twórczością. Nie był to łatwy okres w biografii człowieka, który połowę życia poświęcił fotografii.

No i teraz ta wystawa, otwarta 18 lutego. Czym ona jest w kontekście przypomnianych faktów? Moim zdaniem — demonstracyjną niezgodą na „tautologie i lingwistyki" uprawiane dziś przez wielu przy pomocy obiektywu, a z drugiej strony — dowodem wiary autora w sens fotografii interpretującej rzeczywistość, czy po prostu przedstawiającej ludzi, krajobrazy, przedmioty i zachodzące między nimi związki.

A poza tym wszystkim jest to najzwyczajniej ciekawa wystawa.

IJK

Wojciech Kawiński

DO ZNAJOMEGO PISARZA W ROCZNICĘ JEGO URODZIN

zmierzasz
do jasności przez
ciemność i chłód
przemykasz się cały
Zyskujesz aby
utracić
Tracisz
ażeby zyskać
Myśli twoje
są gorzkie i konkretne
Słowa wyprowadzone
z blizn i głodu wiatrów
mówią
na granicy
buntu i marzenia

Zmierzasz
(ocalony)
do celu
który jest
piękny i nieznany
Ludzie
gubią go w sobie
A symbole
pokazać
nie potrafią

JESZCZE NIE PRZEDŚWIT

I

dziecko śpi
noc jest
jaszczurcza
i gorzka jak
ukryty piołun

II

nie patrzę
w ślepą dal
lewa strona ciała
boli
niczym
głodna pustka i znowu
wyrwie mnie
z ciasnoty wewnętrznej
blada dłoń
świtu

III

przesuwają się obrazy
martwieją pod językiem
słowa

spóźniona czułość
jest myśleniem
i skóra ulicy
miażdżona kołami

wyzwala z czasu
jego ukryty nerw
mówi konkretnie
oddechem krwią
promieniami słońca i dymu

IV

widzę
ten niespieszny
pośpiech

RECEPTA NA

CZY zachował się gdzieś jeszcze na prowincji typ dawnego, zasiedziałego lekarza, człowieka tak mocno wrośniętego w miejscową społeczność, że stawał się swego rodzaju instytucją, zarazem będąc doradcą, powiernikiem i przyjacielem rodziny?

Pamiętam, że kiedy w dzieciństwie nagle zachorowałem, przerażeni dziadkowie wysłali wiadomość z Karczmisk do doktora Kapuścińskiego, mieszkającego wówczas w Opolu Lubelskim. Doktor, wyrwany z jakiejś rodzinnej uroczystości, jechał nocą saniami kilkanaście kilometrów. Kiedy na miejscu okazało się, że choroba nie wymagała natychmiastowej interwencji, nie tylko nie okazał niezadowolenia, ale przesiedział do rana, pocieszając dwoje starych, strapionych ludzi. Gdy teraz od czasu do czasu dochodzą mnie wieści o osiemdziesięcioletnim doktorze, praktykującym w Nałęczowie, to natychmiast jawi mi się w pamięci postać czterdziestoletniego mężczyzny w zielonkawym, tweedowym garniturze, pochylającego się w świetle naftowej lampy nad moim łóżkiem. I przypominam sobie rozmowy z tamtych lat: „Jeżeli macie chorego w domu, ślijcie konie po doktora Kapuścińskiego. On na pewno pomoże."

— Doktorze — pytam Henryka Paradowskiego — co spowodowało, że osiedlił się pan w Kazimierzu: szczególny urok tego miasteczka, względy materialne, czy judymowskie posłannictwo? Mimo młodego wieku, czterdziestu lat, zdobył pan sobie szacunek tutejszych mieszkańców, ma pan mieszkanie w Rynku, żona farmaceutka pracuje w aptece, dwie córki — Edyta i Sylwia — urodziły się już w Kazimierzu... Jak pan się widzi w roli współczesnego, „prowincjonalnego" lekarza?

— Do Kazimierza trafiłem po prostu przez przypadek — śmieje się doktor. — Pieniądze ani posłannictwo nie wchodziły wówczas w rachubę. Byłem na stażu podyplomowym w szpitalu w Puławach, gdy zaszła potrzeba zastępstwa w kazimierzowskim ośrodku zdrowia. Ówczesny dyrektor szpitala, dr Sączyński, zwrócił się do mnie z propozycją przyjęcia tego zastępstwa, a mnie się to nawet podobało: bądź co bądź samodzielna praca. No i zostałem. Co zaś do pasji judymowskich to myślę, że się one krystalizują z czasem, no i w dzisiejszych warunkach muszą wyglądać inaczej, niż przed pięćdziesięciu czy nawet przed dwudziestu laty.

Dzisiaj, na przykład, rzadko już spotyka się lekarza brnącego przez zaspy do chorego w zapadłej wiosce, bo nawet do najbardziej odległych wsi dociera karetka pogotowia ratunkowego wezwana telefonicznie. Większość lekarzy na prowincji ma samochody, więc wizyty domowe też nie są problemem. Co wcale nie znaczy, że sytuacja lekarza na prowincji jest w dzisiejszych czasach łatwa. Po prostu jego działalność jest nieco inaczej ukierunkowana...

I tutaj doktor przytacza przykład przedwojennego lekarza-społecznika Kazimierza — dr Tyszkiewicza. Cieszył się ogromnym szacunkiem dzięki swojej niezwykłej pracowitości, poświęceniu oraz temu, że od biednych zazwyczaj przyjmował tylko symboliczne honoraria. A biednych wówczas w Kazimierzu nie brakowało, szczególnie wśród ludności żydowskiej. Osiadły w oddalonej od centrów medycznych miejscowości, musiał być zależnie od potrzeby internistą, położnikiem, ginekologiem, i chirurgiem. Z własnej inicjatywy czuwał nad szeregiem akcji, mających na celu podniesienie higieny i warunków zdrowotnych. Potrafił jeździć do powiatu i wykłócać się o miejsce w szpitalu dla swoich podopiecznych. Zmarł w sile wieku, ale wdzięczni kazimierzanie nie zapomnieli o nim i jedna z głównych ulic miasteczka nosi imię doktora Tyszkiewicza.

Kazimierz miał zresztą zawsze szczęście do lekarzy — dokumenty z przełomu XVI i XVII w. wspominają o osiadłym tutaj włoskim cyruliku Joachimie Fontanie i o jednym z jego następców, medyku miejskim Wojciechu Kuczewskim, doktorze medycyny i filozofii. Natomiast niejako tradycyjnie, od połowy XVII w., kiedy wzniesiono tutaj budynek szpitalika przy kościele św. Anny, miasto ma kłopoty z zapewnieniem służbie medycznej odpowiednich warunków pracy.

Gdy pod koniec lat sześćdziesiątych świeżo upieczony absolwent Akademii Medycznej w Lublinie, Henryk Paradowski, rozpoczynał pracę w tutejszym ośrodku zdrowia, zaadaptowany prowizorycznie stary dom Ulanowskich przy ul. Senatorskiej nie miał kanalizacji, ani nawet wody bieżącej. Wokół budynku rozciągał się brudny plac przeznaczony na postój furmanek, piętro domu — dwie ogromne komnaty — przedzielono drewnianymi, nie sięgającymi sufitu przepierzeniami na kilka „boksów", w których przyjmowali lekarze.

Były to warunki urągające podstawowym zasadom higieny, sprawiające także wrażenie na człowieku, który jeszcze niedawno słuchał z przejęciem wykładów profesorów na temat organizacji współczesnej służby zdrowia.

Może to właśnie wówczas, w czasie pierwszego, zgrzytliwego zetknięcia się teorii z praktyką, zaczęły budzić się w początkującym lekarzu owe współcześnie rozumiane „społecznikowskie zapędy", które po kilku latach sprawiły, że kazimierzanie wybrali dr Paradowskiego radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej? Może też brano pod uwagę fakt, że doktor jest „swój", że jest synem sołtysa z Góry Puławskiej i chociaż mógłby mieszkać w Puławach — zdecydował się założyć dom właśnie w Kazimierzu? To przecież od lat nabolała sprawa: „przyjezdni" urzędnicy, fachowcy, działacze, mieszkający na stałe w Puławach i miejscowi inżynierowie czy lekarze — wyrywający się za wszelką cenę do ośrodka przemysłowego. „Puławy rozbiły społeczność kazimierską" — powiada się dzisiaj w miasteczku nad Wisłą i jest w tym stwierdzeniu sporo prawdy.

U doktora wcześnie zaczęto doceniać jego dojrzałość, rzetelność i realizm życiowy. Włączał się do

Rozhin w Gorzowie

Dokończenie ze str. 1

Andrzeja Rozhina w roli dyrektora teatru dramatycznego w Gorzowie Wielkopolskim.

Długo będę wspominał pierwszy kontakt z Gorzowem. Oto pani z informacji dworcowej nie dość, że narysowała mi trasę prowadzącą do teatru, to jeszcze pozwoliła na skorzystanie ze służbowego telefonu. Polubiłem egzotykę tego miasta.

Po wyjściu z dworca rzuciłem okiem na schematyczny plan Gorzowa, wymalowany na sporej i lekko ku ziemi pochylonej planszy, lecz nie zdało to się na nic, bo jakieś nerwowe dłonie powyrywały z planu drewienka symbolizujące różne ważne obiekty i instytucje. Przykra sprawa, bo miasto liczy prawie 90 tysięcy mieszkańców, a nie każdy przybysz posiada złote guziki na granatowym płaszczu, zyskujące sympatię pań z informacji dworcowych.

Pierwszym sygnałem bliskości teatru okazała się wielka plansza przybita do ślepej ściany piętrowego bodaj budynku. Przedstawiała ona spory cycuszek — przepraszam, ale jest to najlepsze określenie owej formy — który erotycznie uciskał „okojęzykfaceta", czyli przedziwną kombinację różnych biologicznych detali. Stosowne napisy wyjaśniły sprawę: była to reklama przedstawienia „Aktu przerywanego" Różewicza, wykoncypowana przez Andrzeja Krauzego, jednego z silnych rysowników stajni „Szpilki". Obok tej sugestywnej zachęty do odwiedzin teatru widniała inna plansza, przedstawiająca repertuar sceny Rozhina. Oto tytuły, które zanotowałem: „Łaźnia" Majakowskiego, „Karabiny" Grochowiaka, „Dewajtis" Rodziewiczówny, „Przebudzenie się wiosny" Wedekinda, „Igraszki z diabłem" Dry, „Wesele drobnomieszczanina" Brechta, „Rozstanie w czerwcu" Wampiłowa... No, no, to się rozhuśtali — pomyślałem z pewną zazdrością.

Jak się za chwilę okazało, Państwowy Teatr im. J. Osterwy mieścił się przy ulicy Teatralnej, ale tylko częściowo, niby-doryckim portykiem z pustym tympanonem przypominał wzorcowy obiekt do odgrywania sztuk scenicznych. Przy odrobinie wyobraźni i dobrej woli można uznać go za jednopiętrowy, ale dużo życzliwości trzeba, aby siedziby Melpomeny dopatrzyć się w czymś, co wygląda jak harcówka czy świetlica w średnio zamożnym zakładzie przemysłowym. To wrażenie potęgowały girlandy różnokolorowych żarówek, zwisające nad wejściem — Bóg raczy wiedzieć, co za geniusz od form przestrzennych wymyślił taką dekorację. Wszedłem.

I od razu, na schodach, zobaczyłem fotografię jakiegoś znajomego faceta, który okiem skupionym lustrował przechodzących. No tak, to było zdjęcie Sylwestra Woronieckiego, który nieźle sobie poczynał na lubelskiej scenie, kreował rolę Konrada w inscenizacji III części „Dziadów", zbierając pochwały widowni oraz reżysera tego przedstawienia, Adama Hanuszkiewicza. A potem przybył do Gorzowa wraz z Rozhinem.

Liczne zdjęcia wypełniały foyer balkonu, na pierwszym piętrze budynku, gdzie dotarłem nie nagabywany pytaniami: „A do kogo idzie, a czego szuka", które miałem okazję usłyszeć w bardziej znajomych mi teatrach. To zresztą nie były zdjęcia dekoracyjno-reklamowe, lecz zwarta wystawa przedstawiająca dzieje i dorobek sceny gorzowskiej, założonej już w 1945 roku i ochrzczonej wówczas imieniem Józefa Korzeniowskiego. Równocześnie otwarto w mieście muzeum; znajduje się ono — sprawdziłem później — w sympatycznym pałacyku secesyjnym, otoczonym ogrodem botanicznym i sąsiadującym z nowym kinem „Kopernik", podobnym do lubelskiego „Kosmosu".

Wspomnianą ekspozycję otwierała fotokopia pisma gratulacyjnego, jakie przed laty skierował do Teatru Miejskiego prezydent Bierut. Nie częsty to przypadek, aby głowa państwa osobiście słała życzenia prowincjonalnej, było nie było, scenie, przytoczmy zatem treść pisma: *Z okazji otwarcia pierwszego polskiego teatru na Odzyskanej Ziemi Lubuskiej przesyłam Zespołowi Teatru życzenia pomyślnej pracy nad umacnianiem Sztuki i Kultury polskiej wśród ludności Ziem Odzyskanych dla tym silniejszego powiązania ich z Macierzą.* Zwróćmy też uwagę, że słowa „Sztuka" czy „Kultura" pisało się wówczas z dużej litery. Oh, niegdysiejsze śniegi...

„Boguś nie śpij!", nagle dotarł do mnie głos tyle znajomy, co kategoryczny w tonie, głos, przed którym lekko drżeli aktywiści lubelskiego „Gongu-2". Wszedłem na balkon: tak, w pierwszym rzędzie parteru siedział Andrzej Rozhin, przyodziany w kurteczkę koloru bodaj khaki, szamerowaną licznymi guzikami z jasnego metalu.

„Niewyspany jestem", tłumaczył się wysoki i barczysty aktor, podnosząc głowę ze stołu nakrytego zielonym suknem, przy którym sadowiło się właśnie kilkoro innych aktorów. Była to próba „Przebudzenia się wiosny", rzadko grywanej sztuki Franka Wedekinda z 1891 roku, dramaturga niemieckiego, który, jak na swoje czasy, dość ostro eksponował tematyką erotyczną, obrażając zacnych ludzi ze sfer mieszczańskich. W ogóle Wedekind był człowiekiem rzutkim, komponował piosenki i sam je wykonywał w kabaretach, które były jego drugim domem.

Aktorzy dialogują, monolog płynie ze sceny i wszystko jest normalnie, teatralnie. Aż coś się dzieje nowego na tych deskach w dole, jakiś żywszy rytm się odzywa: to do akcji wchodzi Jan Wojciech Krzyszczak. Mój Boże, nie potrzeba znać się na teatrze, na sztuce aktorskiej, aby rozpoznać w tej postaci osobowość twórczą wielkiego formatu. Krzyszczak wstaje gwałtownie, zrzuca teczkę z jakimiś papierami i jak kot sprężysty przechodzi przez scenę — nic nie mówi, ale inicjuje akcję tak wymowną i sugestywną, że już jesteśmy w środku sprawy, już w niej uczestniczymy.

„Po co te naturalistyczne efekty akustyczne?!", pyta z niesmakiem jakaś młoda kobieta, siedząca niedaleko i chyba zajmująca się dźwiękiem. Rabach! — ktoś przewrócił się, nie ulega kwestii, w kabinie projekcyjnej, która za moimi plecami.

Widownia liczy około 400 miejsc pluszowych, wygodnych. W ogóle wnętrze tego teatru, gdzie przed wojną produkował się podobno jakiś kabaret, jest bardzo kameralne, przytulne, jak buduar może. Trochę secesji, trochę eklektycznych ozdóbek, a wokół centralnego żyrandola — plafon wielki i okrągły przedstawia muzy i inne damy artystyczne w trakcie różnych zajęć szlachetnych, jak: pląsanie, malowanie obrazów, muzykowanie na lirze etc. Ale co to?! Tak, w tej kilkadziesiąt lat liczącej polichromii znajduję projekcyjny aparat filmowy, przypominający sprzęt używany w kinematografii pierwszych dziesięcioleci naszego stulecia. X muza na suficie gorzowskiego teatru wcale nieźle wygląda w towarzystwie klasycznym, ale w jakich okolicznościach została tam wprowadzona?

Sekretariat dyrekcji: przy maszynie do pisania pani Romana Kobus — znamy się z rozmów telefonicznych — urzędująca tutaj od 1966 roku, a za zasłoną na sznurku, oddzielającą kawałek tego małego pomieszczenia, jeszcze jedna pani, która okazuje się być konsultantem literackim teatru. Jadwiga Wilanowska wcześniej pracowała w Szczecinie i Kaliszu, w Gorzowie przebywa od jesieni minionego roku oddając się lekturze tekstów dramaturgicznych w celach profesjonalnych.

Przechodzimy do gabinetu dyrektora Rozhina, który nadal na próbie: ściany pokoiku obito tkaniną w delikatny wzorek, na nich zawieszono kilka plakatów oraz fotograficzny portret Konrada Swinarskiego w bogato profilowanej ramie. Wielki człowiek polskiego teatru spogląda w kierunku biurka szefa gorzowskiej sceny...

„Co słychać w Lublinie?", pyta na wstępie Andrzej Rozhin, mocno ściskając dłoń rodaka. „Różnie", odpowiadam zgodnie z prawdą. Po piętnastu minutach reżyser wraca na widownię, kontynuując próbę, która trwa już sześć godzin i zgodnie z zasadą wprowadzona przez Rozhina otwarta jest dla publiczności. Umawiamy się na wieczór. „Pani Jadwigo, proszę podialogować z gościem",

Kamena str. 8

pracy społecznej niejako automatycznie. Nie pojawił się w Kazimierzu w glorii działacza studenckiego czy młodzieżowego społecznika. Nie składał efektownych deklaracji. Nie powoływał się na obfitującą w osiągnięcia przeszłość. Reprezentował studencką większość, która idzie „w teren" przede wszystkim dlatego, że są tam wolne etaty, a pytanie o swoje miejsce w życiu zaczął sobie zadawać już w warunkach konkretnej działalności.

Doktor wydawał się bardziej dorosły, poważniejszy od innych trafiających do Kazimierza absolwentów wyższych uczelni. Wkrótce okazało się, że jest też od nich starszy. Gdy otrzymując dyplom lekarza składał przed rektorem „przysięgę Hipokratesa", miał już 31 lat i był człowiekiem żonatym. Kiedy jego rówieśnicy zdawali na pierwszy rok studiów, on wkuwał zasady wiedzy medycznej w liceum felczerskim w Chełmie, a po jego ukończeniu przez pięć lat pracował w puławskiej stacji sanitarno-epidemiologicznej jako instruktor szczepień. W Puławach poznał Jolantę

ŻYCIE

Mirosław Derecki

Zajdler, która właśnie wybierała się na studia farmaceutyczne.

Trudno jest podejmować decyzję pójścia na studia, kiedy ma się już dwadzieścia pięć lat, nieźle płatną posadę i własny kąt.

Na zajęciach z propedeutyki lekarskiej przypomina się studentom starą rzymską zasadę: "primum non nocerea" — przede wszystkim nie szkodzić pacjentowi. Przestrzega się też na przyszłość, żeby swoim postępowaniem zaprzeczać zasadzie, że choć człowiek człowiekowi wilkiem — „homo homini lupus est", to... „medicus medici lupissimus!", ale przede wszystkim cytuje się zdania angielskiego psychiatry Balinta, że najczęściej używanym lekiem w praktyce lekarskiej jest sam lekarz. Musi on — niezależnie od leków oddziaływać na pacjenta swoją osobowością, wzbudzać jego zaufanie, być osobą szanowaną nie tylko w sensie zawodowym, ale także w dużo szerszym pojęciu.

Wydaje się, że doktor Paradowski zasadę Balinta zna dobrze, chociaż nigdy o niej nie wspomina.

Czy współczesny lekarz pracujący na prowincji może kontynuować tradycje dawnego „lekarza rodzinnego", o co zresztą ostatnio dopomina się coraz więcej medyków, nie tylko „starej daty"? Oczywiście, że mógłby, tylko przy obecnej organizacji i stanie służby zdrowia — po prostu nie ma na to czasu. Prowincja żyje zupełnie innym rytmem niż kilkadziesiąt lat temu, a przy powszechnym ubezpieczeniu lekarze padają z przepracowania.

Dzisiaj ośrodek zdrowia z Kazimierzu nad Wisłą ma personel składający się z trzech lekarzy-specjalistów, jednego stomatologa, sześciu pielęgniarek, laborantki, pomocy dentystycznej i kilku płatnych sióstr PCK, zajmujących się opieką nad chorymi i niedołężnymi. Muszą oni zapewnić pomoc i opiekę lekarską prawie dziewięciu tysiącom osób z Kazimierza i okolicznych wsi. Jeżeli wziąć pod uwagę, że przez Kazimierz każdego roku przewija się pół miliona turystów i letników, z których pewna część ulega wypadkom lub znajduje się w trakcie leczenia, to oczywiście kolejki pod drzwiami gabinetów lekarskich ulegają znacznemu wydłużeniu. Doktor Paradowski jako rzecz zwykłą traktuje fakt, że dziennie przez jego gabinet przewija się ok. 50 pacjentów, chociaż „norma" przewiduje 25—30 osób.

Najwięcej jest chorych na różne dolegliwości reumatyczne. Kazimierz leżący nad samą Wisłą i w dolinie rzeki Grodarz ma klimat wilgotny i jest „idealnym" miejscem do rozwoju tego rodzaju schorzeń. Drugą pozycję zajmują choroby wieku podeszłego. Młodzi uciekają do miast, przenoszą się do Puław, lub — pracując w Puławach — leczą się w tamtejszych przychodniach przyzakładowych. Stąd w kazimierskim ośrodku przewaga ludzi starych, do których trzeba mieć odpowiednie podejście i dużo życzliwości. W Kazimierzu i jego okolicy występuje też problem ludzi samotnych i starych. Tutaj wielką pomocą są pracujące w ośrodku od ubiegłego roku siostry PCK.

W ośrodku zdrowia od dawna czeka wolny etat na czwartego lekarza, ale nikt się jakoś do Kazimierza — mimo jego uroków — nie kwapi. Zarobki nie stanowią atrakcji dla ewentualnych kandydatów, a przede wszystkim rzecz rozbija się o zupełny brak mieszkań. I jeszcze problem miejsca pracy dla nowego lekarza: w obecnych warunkach — mimo przeprowadzonych ostatnio prac remontowo-adaptacyjnych — czwarty lekarz musiałby przyjmować pacjentów na korytarzu. Wreszcie sprawa samego remontu: po jego zakończeniu okazało się, że wprawdzie grupa Remontowo-Budowlana ZOZ w Puławach doprowadziła do budynku wodę i założyła instalacje kanalizacyjne w pomieszczeniach przeznaczonych na sanitariaty, lecz zapomniano... o odpływie wody z umywalek w gabinetach lekarskich! Dzisiaj więc panowie doktorzy myją ręce pod kranem, ale pod umywalkami stoją — jak za czasów cyrulika Fontany — kubły na brudną wodę. Toczy się debata kto winien... Główni winowajcy są trudno uchwytni. W odpowiednim momencie pozwalniali sie z pracy.

Doktor aktywnie uczestniczył zawsze w działalności Miejsko-Gminnego komitetu PZPR, w pracach Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia i Komitetu Opieki Społecznej, którego jest wiceprezesem. Od czasu gdy jest radnym WRN nęka instytucje wojewódzkie i ministerialne odpowiedzialne za wprowadzenie w życie planów rozbudowy Kazimierza. Z satysfakcją pokazuje mi pismo, z którego wynika, że wreszcie, po wielu latach starań, w 1979 r. ruszy budowa nowoczesnego ośrodka zdrowia między ulicami Lubelską i Nadrzeczną. Znajdzie się tam m.in. podstacja Pogotowia Ratunkowego, a także dwa obszerne mieszkania dla lekarzy i sześć mieszkań dla pielęgniarek, co nareszcie chyba rozwiąże problem personelu medycznego w Kazimierzu.

Po monitach doktora w Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Lublinie zostały wznowione prace przy budowie kazimierzowskiej obwodnicy, miasto wchodzi w drugą fazę prac kanalizacyjnych, czynione są starania o przeprowadzenie z Puław do Kazimierza odnogi gazociągu. Niestety, jedna z najważniejszych dla miasta spraw, budowa osiedla spółdzielczego, znowu się odwleka...

Ostatnio dr Henryk Paradowski zamknął swoje mieszkanie na dwa spusty, żonę i córki wysłał do rodziców w Puławach, a sam, obłożony podręcznikami w ciasnym pokoiku lekarskiej bursy w Lublinie, obkuwa się do egzaminów na drugi stopień specjalizacji z medycyny ogólnej.

---

zwraca sie na koniec do konsultanta literackiego.

Dialogujemy więc, przeglądając programy przedstawień i inne okolicznościowe wydawnictwa teatru, gdy nagle do gabinetu wpada pies niewielki, ale rasowy, a za nim młoda i energiczna osoba. „Bohdan — pokrzykuje w kierunku towarzyszącego jej młodego mężczyzny — zaprowadź go do domu, bo włazi na scenę!"

Właścicielka psa-teatromana to Lidia Jeziorska, do niedawna adeptka, obecnie jedna z czołowych aktorek sceny gorzowskiej. 1 września 1974 roku, kiedy Rozhin obejmował dyrekturę teatru, z poprzedniego zespołu aktorskiego pozostały w Gorzowie zaledwie trzy osoby (oraz „rażące braki techniczne" w samym obiekcie). Nowy dyrektor był więc w sytuacji tyle kłopotliwej, co dogodnej. Kłopotliwej, bo musiał odbudować zespół od podstaw, co wymagało szalonej pracy i wielkiej zręczności, dogodnej — bo mógł od początku kształtować teatr według własnej koncepcji, opartej na myślowej, artystycznej wspólnocie grupy ludzkiej; takiej, jaką stanowił prowadzony przez niego lat 13 lubelski „Gong-2", będący swego czasu jeśli nie najciekawszą, to przynajmniej jedną z najbardziej twórczych awangardowych scen studenckich w Polsce. No i dokonał Rozhin rzeczy chyba bezprecedensowej w kraju: w krótkim czasie „wyzwolił" 9 adeptów na aktorów z pełnymi uprawnieniami. Równocześnie pozyskał do współpracy wielu młodych ludzi z różnych miast Polski.

Ponad rok kierownikiem literackim teatru w Gorzowie był Maciej Szybist z Krakowa. Dłuższy okres czasu występował tutaj Sylwester Woroniecki (który obecnie przeniósł się do Szczecina). Na scenie gorzowskiej debiutował jako reżyser Bohdan Cybulski, twórca studenckiej Warszawskiej Grupy Teatralnej, który w Gorzowie dał „Akt przerywany" Różewicza i „Igraszki z diabłem" Drdy. W tym ostatnim przedstawieniu debiutował jako scenograf Edward Lutczyn, znany rysownik z kręgu „Szpilek" (publikujący również w „Kamenie"). Wojciech Müller także u Rozhina zrealizował pierwszą swoją scenografię. W Gorzowie debiutowało kilku młodych kompozytorów.

Teatr powinien być głęboko zespolony z tradycją narodową, ale także z czasem, w którym żyjemy; prezentować najnowsze kierunki artystyczne, ale nie zapominać o klasyce; kształtować gust społeczeństwa upowszechnianiem rzeczy wartościowych, ale zdawać sobie sprawę z tego, że pewna część widowni oczekuje od teatru rozrywki. Przy tym należy brać pod uwagę istotny fakt, że z funkcjonowaniem teatru związany jest byt grupy ludzi — powiedział Rozhin w wywiadzie dla „Nadodrza" zaraz po rozlokowaniu się w Gorzowie (grudzień 1974).

Do miasta nad Wartą Rozhin przyjechał z w pełni uświadomionym

Andrzej Rozhin (z lewej w dolnym rzędzie) wraz z zespołem Teatru im. J. Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim (Zdjęcie z sezonu 1975/76)
Fot. Mieczysław Sachadyn

programem własnego działania. W pierwszym miesiącu pobytu doprowadził do spotkania zespołu z przedstawicielami placówek kulturalnych Gorzowa, poddając pod dyskusję propozycje repertuarowe teatru na sezon 1974/75. Niewiele ponad miesiąc później aktorzy i dyrekcja spotkali się z załogą i kierownictwem miejscowych Zakładów Mechanicznych, omawiając możliwości współpracy obu instytucji. Po premierze „Karabinów" Grochowiaka (w opracowaniu i reżyserii Rozhina), w Klubie MPiK odbyła się publiczna dyskusja nad spektaklem... To nie były „gesty dla ludu", ale konkretny przejaw myślenia Rozhina o teatrze, o jego społecznej roli. Były to też dowody dyrektorskiego poczucia realizmu.

Nie dla ozdoby czy „atmosferycznej sugestii" należałoby naszkicować pejzaż codzienny Gorzowa. Zbliżyłoby to czytelnika do specyfiki miasta, w którym na każdym kroku widać znaki rozwoju, obok manifestacji zaniedbań. Na dworcu PKS — nowym, bijącym funkcjonalnością na głowę obiekt lubelski — można kupić bilet lotniczy z Poznania do Warszawy, ale komunikacja miejska Gorzowa w godzinach szczytu wymaga od pasażerów żelaznej kondycji i takich nerwów. W mieście buduje się dużo, ale Wojewódzki Dom Kultury działa w budynku znajdującym się ponad 20 km od centrum Gorzowa. Teatr istnieje tutaj lat ponad 30 i posiada nawet świetne rozdziały w swej historii (za dyrekcji Ireny Byrskiej w okresie 1963—1966), ale kiedy w 1967 roku dyrektor Jan Błeszyński rozdał w „Stilonie" 300 ulgowych talonów — biletów na przedstawienia, załoga skorzystała tylko z czterech!

Więc kiedy Rozhin wprowadza do repertuaru „Dewajtis" Rodziewiczówny (w inscenizacji i reżyserii M. Szybista) to wie, co robi. I nie dziwię się, że w programie tego przedstawienia, utrzymanego niemal w naturalistycznej konwencji, podkreśla się, że „Trawę wykonała pracownia Teatru Polskiego w Warszawie pod kierownictwem Stanisława Lenarczyka" Może to banał, może tandeta obserwacyjna, ale wydaje się, że w tych wszystkich poczynaniach chodzi Rozhinowi o w z n i e s i e n i e w Gorzowie teatru faktycznie o t w a r t e g o, do którego chętnie się chodzi, o którym gada się w kawiarniach i w komitecie. I ten cel zdaje się Rozhin z młodym zespołem osiągać. Właśnie z zespołem. W co bardziej okazałych programach wymieniane są nazwiska wszystkich pracowników teatru: od szefa i aktorów począwszy, a na sprzątaczkach i bileterkach kończąc. 52 przedstawienia „Igraszek z diabłem" doczekały się niemal 20 tysięcy widzów, „Wesele drobnomieszczanina" Brechta jest tematem dnia w Gorzowie i Piotr Sowiński (kiedyś także w Lublinie) może sobie rzetelnie pogratulować pomysłu usadowienia widzów i aktorów przy jednym stole biesiadnym. Mając zresztą takich aktorów jak Jan Wojciech Krzyszczak (kiedyś w Lublinie, ale amatorsko, choć lepiej od wielu profesjonałów), Rozhin może oferować właściwie wszystko: od wdzięcznych repetycji z Fredry na małej scenie, od „Gawła na Księżycu" — po „Łaźnię", „Emigrantów", „Balladynę". Niewątpliwie największą popularnością cieszy się w mieście Krzyszczak, o którym kilka ciepłych słów usłyszałem również podczas spotkania „mistrzów kultury" Gorzowa z I sekretarzem KW PZPR, Ryszardem Łabusiem, i innymi przedstawicielami władz tamtejszych.

„Kiedy w Gorzowie zabraknie Rozhina, zespół się rozleci", powiedział mi jeden z aktorów podczas obiadu w przyzwoitym „Sezamie". Świadkiem Jadwiga Wilanowska — osoba tyle opanowana, co znająca się na teatralnej rzeczy. Kto wie, może tę uwagę swojego kolegi potwierdziliby i tacy młodzi aktorzy, jak: Aleksander Maciejewski, Mikołaj Müller, Marek Pudełko, Grzegorz Stachurski, Mariusz Szaforz, Eleonora Waller czy Elżbieta Woronin, których miałem okazję widzieć podczas prób i dwóch spektakli notując ich nazwiska w reporterskim zeszycie. Obok takiej oto uwagi Andrzeja Rozhina, skierowanej do pewnego piosenkarza, uczestniczącego w próbie koncertu „Mistrzowie kultury — mistrzom dobrej roboty", reżyserowanej przez dyrektora gorzowskiego teatru: „Niech pan tą swoją piękną fizycznością wypełni tę dziurę!"

Ireneusz J. Kamiński

P.S. Girlandy różnokolorowych żarówek przed wejściem do teatru okazały się elementem scenografii do „Wesela drobnomieszczanina", niestety.

Kamena str. 9

„Materiały" kosztowne, ale czy potrzebne?

Witold Zechenter

POD auspicjami Polskiej Akademii Nauk i Instytutu Badań Literackich ukazuje się cenna kontynuanda pt. „Archiwum Literackie", przynosząca interesujące przyczynki do ważnych wydarzeń w literaturze. Jako tom XX tego wydawnictwa ukazała się praca Tadeusza Kłaka „Materiały do dziejów awangardy". Niestety, w małej tylko mierze spełnia ona te zadania, jakich moglibyśmy się spodziewać w tego typu wydawnictwie.

Przede wszystkim już sam tytuł wprowadza w błąd, nie są to bowiem materiały do dziejów awangardy, jedynie materiały do dziejów usiłowania tworzenia w Krakowie czasopisma w miejsce „Zwrotnicy" oraz do dziejów „Linii", wyłącznie więc materiały polegające na przedrukowaniu korespondencji Jalu Kurka z owych lat. Jest to zatem jedynie pewien wycinek, i to nie najważniejszy, dziejów polskiej awangardy.

Z przykrością należy zauważyć, że w olbrzymim procencie ta korespondencja ani nie jest interesująca, ani nie przynosi nieznanych ważnych szczegółów. To, co w niej mogłoby zainteresować, znamy już z innych źródeł, a zwłaszcza, w indywidualnych naświetleniach, z artykułów i książek wspomnieniowych np. Kurka („Mój Kraków") czy Brzękowskiego („W Krakowie i w Paryżu"). Ogromna większość listów to podziękowania za przesłane książki, obietnice recenzji lub wpraszanie się o recenzje, z których większość się nie ukazała, zaproszenia na wyjazdowe spotkania autorskie, które przeważnie spaliły na panewce, zwłaszcza zaś dość żenujące, nawet po latach, propozycje druku w jakimś, przeważnie efemerycznym, pisemku w zamian za umieszczenie utworów w „Linii" czy też w prasie krakowskiej, z którą w danym okresie Kurek współpracował. To swoiste „do,ut des", w dodatku w tak wielkim nagromadzeniu, razi, zawstydza nawet, zważywszy poszczególne nazwiska, a także nasuwa refleksje o tworzeniu się mitów na temat wpływów, uwarunkowań, ustosunkowań itp. Kilka zaledwie listów (np. Hulki — Laskowskiego, K. A. Jaworskiego, Czechowicza, Piechala, Czuchnowskiego) nosi cechy interesującej lektury, mogącej coś dać nie tylko badaczowi okresu, ale przeciętnemu czytelnikowi. Są też listy od osób znanych dziś w literaturze, które wtedy, przed kilkudziesięciu laty, były uczniakami i pisały tak, jak pisują młodzieniaszkowie, co dla starszych dzisiaj panów może być kompromitujące nieco. Przewartościowały się też oceny, kryteria, spojrzenia, a co za tym idzie blisko czterysta zacytowanych in extenso listów nie wydaje się materiałem godnym oddzielnej publikacji i to, jak wskazuje uwaga na str. 4, za specjalną dotacją PAN „w wysokości ok. 264 zł za jeden egzemplarz". Bogate z nas społeczeństwo: nakład wynosi 1300 egzemplarzy, dotacja więc opiewa na niebagatelną sumę 343 tysięcy złotych...

W obszernym wstępie opisuje Tadeusz Kłak środowisko awangardy krakowskiej, przeceniając znaczenie owych pięciu zeszycików efemerycznego pisemka, jakie pod tytułem „Linia" ukazywało się w okresie dwu lat, bardzo nieregularnie. Cytowane opinie krytyki są wyselekcjonowane dość jednostronnie i nie pozwalają na zapoznanie się dzisiejszego czytelnika z istotnym odbiorem „Linii" przez ówczesny ogół kulturalny Polski. Pamiętam dobrze te czasy, odbiór „Linii" był prawie żaden, opinia o niej nijaka, po prostu nie przywiązywano specjalnej wagi do tego pisemka, podkreślano, że odżegnał się od niego Peiper, wzbraniając nazwania „Linii" kontynuandą „Zwrotnicy", cytowano nieprzyjemne „pokwitowanie" Kurka dla Peipera, zamieszczone w „Linii", a zaciekawienie budziły tylko bardzo napastliwe notki o charakterze osobistym i takie zagadkowe pozornie sprawy jak np. fakt, że pismo ukazywało się, jak głosiły napisy, pod redakcją Jalu Kurka, ale wydawcą był... Franciszek Kurek. Pewne światło na zagadnienie właściwego odbioru „Linii" rzucić może jedynie zestawienie nakładu i sprzedaży owych pięciu zeszytów pisemka: na ogólny nakład 3400 egzemplarzy sprzedano 396, a więc nieco powyżej... 10%!

Nie mam zamiaru pisać tu recenzji z „Linii", zbyt to przedawniona sprawa, ale po lekturze tomu XX „Archiwum Literackiego" nie mogę oprzeć się wrażeniu, że owe „pars pro toto", jakim są „materiały", nie dawało podstawy do takiej publikacji. Przesunięto bowiem przez nią płaszczyzny właściwego zainteresowania, właściwej wagi zagadnień, nie tylko profilu polskiej awangardy z tak ciekawymi, żywotnymi ośrodkami jak Lublin, Wilno czy Łódź, ale istotnego nurtu kultury literackiej w owym okresie w naszym kraju na rzecz rozdętej, jedynie marginesowej, efemerycznej ciekawostki, prywatnej odskoczni zaspokajania indywidualnych ambicji i, niestety, złudzeń.

Również poważne zastrzeżenia budzą w tej pracy komentarze, jakie redaktor edycji umieszczał pod każdym z listów. Pewną ilość nieścisłości wyszukało „Życie Literackie", na co odpowiedział Tadeusz Kłak w liście do tej redakcji, stwierdzając, dosyć dyskusyjnie i wbrew ogólnie przyjętemu pojęciu komentarza w pracy naukowej, że „komentator musi cenić papier, czas ludzi zatrudnionych przy powstawaniu książki, a przede wszystkim czas i pamięć czytelnika. Stąd wydawca podaje tylko informacje niezbędne, wystarczające do zrozumienia komentowanego tekstu". Sądzę, że tkwi w tym rozumowaniu duża omyłka: komentarz bowiem powinien być jak najbardziej wyczerpujący, nawet ciekawszy od samego komentowanego substratu, a szanowanie czasu i pieniędzy oraz papieru należałoby rozważyć przed przystąpieniem do pracy — być może, że nieraz jakieś materiały, nawet ściśle komentowane, nie byłyby godne straty papieru, czasu i pieniędzy.

Zabrakło mi więc w komentarzach szerszej wzmianki o A. Błażejowskim, który był nie tylko dziennikarzem, ale znanym w swym czasie beletrystą, m. in. autorem „Czerwonego błazna", powieści, jaka posłużyła za scenariusz głośnego wtedy filmu. To, że o Błażejowskim nie wspomniał Czachowski w swej historii literatury, czym bronił się Tadeusz Kłak przed zarzutem „Życia Literackiego", byłoby, moim zdaniem, dodatkowym powodem do przypomnienia zapoznanego pisarza. „Tribune Libre du Cinéma" nie była „kinem założonym w Paryżu przez Charlesa Lègera dla wyświetlania filmów awangardowych", ale była to instytucja, gdzie raz na tydzień dyskutowano o sztuce filmowej i dla zainicjowania dyskusji wyświetlano jakiś film, niekoniecznie awangardowy. Pisałem o tej ciekawej instytucji w r. 1928 w „Wiadomościach Literackich", postulując założenie podobnej w Polsce. T. Kłak podaje, że w jego, błędnym całkowicie, określeniu „Tribune" oparł się na korespondencji Brzękowskiego w „Głosie Narodu". Mój Boże, pamiętam ten wieczór, gdy Brzękowskiego ja właśnie wprowadziłem do Salle Adyard przy Avenue Rapp, gdzie odbywały się zebrania „Tribune Libre", potem byłem z nim tam parę razy, widać pokręcił coś w swym liście do „Głosu Narodu"; Brzękowski przybył nad Sekwanę, gdy ja tam przebywałem już z pół roku, ja więc wprowadzałem go początkowo w ten nowy dla niego świat, który częściwo zdołałem już poznać.

O aktorze Antonim Piekarskim wypadałoby też szerzej napisać w komentarzu, poza wymienionymi teatrami grał też w Toruniu, gdzie zaskoczyła go potem śmierć tragiczna z ręki hitlerowskich zbirów, „za moich czasów" reżyserował w Paryżu opracowane przez siebie dramaturgiczne utwory Jasieńskiego, Czyżewskiego, Zegadłowicza, pracując nie tylko dla Tow. Miłośników Sceny Polskiej, lecz także współpracując z amatorskimi zespołami emigracyjnymi. Pisząc wyjaśnienie, kim był Bernard Hamel, należało dodać, że przetłumaczył on w latach sześćdziesiątych „Pana Tadeusza" i to rytmicznie, częściowo nawet rymując. Przy komentarzach o kilku pisarzach nie na daty ich śmierci, np. przy A. Marczyńskim, co stwarza wrażenie, że dany pisarz jeszcze żyje, bo przy innych podane są daty śmierci.

Objaśniając wspomnianą często „Gazetę Literacką" należało podać, że były dwie „Gazety Literackie", całkowicie różniące się od siebie — pierwsza z lat 1926 — 27, której redaktorami byli J. Braun i ja (a w drugim roku jej wychodzenia tylko ja, co określa wyraźnie notka w numerze pisma z 15 I 1927: „Z powodu wyjazdu na dłuższy okres czasu redaktora naczelnego „G. L." J. Brauna, funkcje redaktora naczelnego spełnia od numeru niniejszego Witold Zechenter"), czasopismo to było organem grupy „Litart". Druga natomiast „Gazeta Literacka" z lat 1931 — 34 była początkowo organem krakowskiego oddziału Związku (Zawodowego wtedy) Literatów Polskich, następnie stała się organem grupy trzech redagujących ją pisarzy, o czym pisze w swych wspomnieniach T. Kudliński. Rozłam w krakowskim oddziale Związku Literatów, o którym wspomina się w jednym z komentarzy, pociągnął za sobą opuszczenie szeregów oddziału nie przez 13, ale początkowo 17 pisarzy, do których następnie dołączyło się kilku innych i nie zakończył się po paru miesiącach, ale po kilku latach, gdy zmienił się skład zarządu i ta druga „Gazeta Literacka", która była jednym z powodów rozłamu dawno już nie wychodziła. Tadeusz Kłak powołuje się na cytaty w tej sprawie w owej właśnie „Gazecie", a przecież nic dziwnego, że rozmyślnie nie podawano tam prawdy; należało sięgnąć do bezstronnych źródeł, z których jasno wynika, że rzekoma „zgoda w Krakowie" była jedynie „treuga Dei" zawartym na kilkudniowy okres ogólnopolskich uroczystości ku czci Wyspiańskiego, jakie wtedy odbyły się w Krakowie. To już historia i komentarze powinny ściśle przestrzegać faktów — piszę o tym obszernie w mej książce „Upływa szybko życie".

Sporo jeszcze nieścisłości w komentarzach, np. imię znanego wtedy redaktora pisma dla Żydów, „Nowego Dziennika", dra Kanfera — miał na imię Mojżesz, chociaż Kurek podał błędnie w swych wspomnieniach Maurycy, a gdzie indziej też błędnie wymieniony jest jako Marian. Rzecz w tym, że podpisywał się zawsze tylko inicjałem imienia, ale źródłem powinien być oficjalny spis dziennikarzy krakowskich, wydany w r. 1937 z racji 25-lecia Syndykatu Dziennikarzy Krakowskich, znałem zresztą Kanfera osobiście i właściwe jego imię podałem w swej książce wspomnień. Tomik H. Rusinka miał tytuł „Błękitna defilada", a nie „Błękitna chustka" — to „jeden rzeczywisty błąd", jak pisze T. Kłak, wśród podanych w „Życiu Literackim".

Nie jeden, niestety, nie jeden. Jeszcze są nieścisłości w komentarzach o poecie Bronisławie L. Michalskim, który wcale nie był „niestałym współpracownikiem IKC", jedynie dodatek do tego pisma, „Kuryer Literacko-Naukowy", zamieścił kilka jego wierszy, które Michalski mi wręczył, a ja zaniosłem je niezapomnianemu redaktorowi owego dodatku, prof. M. Dąbrowskiemu; nieścisłe jest określenie koła „Litart", jako „skupiającego młodych pisarzy ujawniających się wśród studentów UJ", gdyż należeli do tego Koła i tacy pisarze, którzy dawno skończyli UJ lub wcale tam na studia nie uczęszczali; pisząc o Witoldzie Hulewiczu należało przypomnieć, że redagował „Tygodnik Wileński"; Anatol Krakowiecki nie był związany tylko z „IKC" i nie był tylko dziennikarzem (a o tym już pisze Czachowski!), był też pisarzem, satyrykiem, autorem powieści i nowel; Marian Kister był tylko współwłaścicielem „Roju" i to w mniejszej mierze, niż jego istotny właściciel, Wańkowicz. Inaczej też przebiegała droga życiowa Jarosława Janowskiego, którego należało szerzej przypomnieć i podać datę jego śmierci.

Nie chcę tu przedłużać listy niedociągnięć, które wymieniam dla dobra prawdy, nieraz wręcz historycznej. Dla badaczy okresu każdy drobiazg nawet jest ważny, każdy, najmniejszy nawet fakt, powinien być podany bardzo ściśle. Sądzę, że „Materiały do dziejów awangardy", pozbawione w dodatku pełnego i ścisłego komentarza, nie były godne oddania im tomu cennego wydawnictwa, tym bardziej przy wysokiej subwencji państwowej. Jeżeli zwracam na tę książkę uwagę czytelników „Kameny", nie jest to bez „ale". Zacytował tam bowiem Tadeusz Kłak trzy listy Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, niezapomnianego działacza kultury, poety i tłumacza. Rzucają one ciekawe światło na ówczesne lubelskie środowisko literackie, świadczą też, że Jaworski, poeta w swej twórczości daleki od awangardy, był, jako redaktor „Kameny", bardzo wszechstronnie zainteresowany każdym rodzajem twórczości i chętnie na łamach swego czasopisma widział nazwiska awangardzistów, także krakowskich. Fakt ten jest ciekawym przyczynkiem do orientacji redaktorskich ówczesnych czasopism: piękny eklektyzm lubelski wobec ciasnoty podwórka krakowskiego, z którego w stosunku do poetów innej orientacji, niż awangardowa padały jedynie „gromy" i wyzwiska. Ażeby nie było niedomówień, od razu zaznaczam, że na mnie też!

BEETHOVEN

Stefan Münch

WKRÓTCE, 26 marca, upłynie sto pięćdziesiąt lat od śmierci jednego z największych reformatorów w dziejach muzyki — Beethovena. Entuzjastyczny kult tej muzyki, niezbyt rozumianej za życia kompozytora, rozpoczął się — a raczej eksplodował — dopiero w latach czterdziestych ubiegłego stulecia. Podziwiano ją zresztą z różnych powodów. Brahms uważał Beethovena za twórcę logicznie, proporcjonalnie i ekonomicznie konstruującego swe dzieła (a więc za klasyka), podczas gdy Wagner i R. Strauss zachwycali się dziełami programowymi (sonata „Les Adieux", uwertury) i wokalno-instrumentalnymi, jak „Missa solemnis", czyli tym wszystkim, co było bliskie ich własnych koncepcji. Przypomina się tu pogląd Hegla, że geniusz jest syntezą sprzeczności...

Logiczny spadkobierca tradycji wiedeńskiej muzyki XVIII wieku, stworzył jednocześnie podwaliny estetyki romantycznej, łącząc czystą muzykę z programowością; kontynuator dziedzictwa Haydna, przeobraził stworzoną przezeń formę sonatową. Równie genialny i „natchniony" jak Mozart, w odróżnieniu od komponującego spontanicznie i pozornie bez wysiłku twórcy „Don Giovanniego", Beethoven pracował długo nad każdym dziełem, wciąż coś zmieniając i ulepszając.

Za życia nie rozumiano całego bogactwa jego muzyki. Uznawano jednak tragiczną wielkość kompozytora. Pomimo głuchoty i mizantropii (a może i dzięki nim?) Beethovenowi przyznawano autorytet moralny i artystyczny, ulegając po trosze jego niemal hipnotycznemu wpływowi, jaki wywierał na ludzi: stąd nierozerwalny na długie lata splot muzyki z legendą jej twórcy. Buntował się przeciwko temu Strawiński, dowodząc, że „mit Beethovena" przeszkadza mu w obiektywnej percepcji wszystkich czysto muzycznych walorów jego twórczości. Dla kompozytorów XX wieku wiedeński geniusz nie był już natchnieniem, a często okazywał się celem ataków i krytyki. Nie ulega jednak wątpliwości, że jeśli nawet tragiczne losy Beethovena zatrą się nam w pamięci, to pozostanie jego dzieło.

Rocznicę Beethovenowską uczciła lubelska filharmonia specjalnym programem (4 i 5 II). Wieczór zainaugurowała II Symfonia D-dur op. 36, prowadzona gościnnie przez Zygmunta Rycherta, kierownika artystycznego Filharmonii Bałtyckiej, dyrygenta młodego wprawdzie, ale o ukształtowanej już osobowości muzycznej, wysoko ocenianego przez krytyków. Druga Symfonia, ukończona przez Beethovena w 1802 roku, należy do grupy tych utworów, w których zaczynał się przejawiać indywidualny styl kompozytora, samodzielny wobec Haydnowsko-Mozartowskiej tradycji. Widać to zwłaszcza w cz. I (Allegro con brio) i w finale (Allegro molto), pełnych temperamentu i energii, na przykład w doskonale zinstrumentowanym przetworzeniu w cz. I, które nie wypadło, niestety, najlepiej (rozwibrowane lub „piłujące" smyczki, nie zawsze czysto brzmiąca blacha). Dużo lepiej zaprezentowała się orkie-

Opowieść detektywistyczna

POGROMCA

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

NAMIOT cyrku prezentował się niczym wspaniała piramida zbudowana ku czci ludzkiej siły, pomysłowości i zręczności. Kiedy zbliża się czas występów, ta piramida zaczyna żyć. Głosy ludzkie mieszają się z porykiwaniem zwierząt, co stwarza atmosferę grozy i niepewności. Wkrótce zapalą wszystkie światła i przekonacie się, że mało jest widoków mogących równać się z oświetlonym cyrkiem.

Tłum ciśnie się w wąskich przejściach. Sektory wypełniają się ciekawskimi. Długo oczekiwany moment nadchodzi. Wszyscy wpatrzeni w sylwetki na arenie. Żonglerzy, ćwiczenia na linie, tresury piesków, jakieś głupawe igrce błaznów publiczność kwitowała brawami, ale czuło się, że to jeszcze nie to, na co wszyscy zdają się oczekiwać. Podniecenie i rozgorączkowanie wśród widzów rośnie, bo oto dyrektor zapowiedział oczekiwany numer, gwóźdź programu. Zapanowała zupełna cisza. Uświadomiłem to sobie przyglądając się sprawnemu ustawianiu krat, kiedy jedna uderzała o drugą rozchodził się lekki pogłos, który utonąłby w tej olbrzymiej przestrzeni przy lekkim nawet szmerze wśród publiczności. Kraty już zupełnie oddzielały widownię od areny. Na tę ostatnią prowadziły dwa wybiegi. Jednym z nich wbiegł pogromca. Miał na sobie obcisłe portki, kraciastą koszulę, kamizelkę, na głowie kapelusz, przy pasie rewolwer. Sprawiał wrażenie przerażonego. Spoglądał to za siebie, to na drugi wybieg. Pośrodku areny przewrócił się jak długi. Dla jednych podnosił się niezdarnie, jednak bystrzy obserwatorzy dostrzegli, że niezdarność spowodowana jest strachem paraliżującym ruchy. Spadł mu kapelusz, nie zdążył go podnieść, a może nie zauważył tego, gdyż w drugim wybiegu pojawiła się sylwetka lwa.

— Ludzie, ratunku, ratunku! — wrzasnął przeraźliwie.

Pogromca na arenie wzywający ratunku — tego jeszcze nie było. Zabrzmiało to, być może, dla jednych tragikomicznie, dla drugich tragicznie. Ale jakże, do licha, udzielić mu pomocy, skoro odgradzała nas krata? Pogromca zamachał rękoma, jakby w ten sposób usiłował przepłoszyć lwa. Na widowni podniósł się tumult. Ktoś coś krzyczał. Inni starali się przekrzyczeć tamtego. Lew zbliżał się w stronę pogromcy. Zrazu z wolna. Tamten wyciągnął z kabury rewolwer i strzelił. Rozległ się huk, błysnęło sztucznym ogniem. Kapiszon! Lew jednak przystanął. Pogromca zrozumiał widocznie, iż broń jest bezużyteczna, wziął potężny zamach, cisnął nią w łeb zwierzęcia, sam zaś rzucił się w stronę kraty i dopadłszy jej począł się wspinać z zadziwiającą szybkością i zręcznością. Po chwili był już zaczepiony gdzieś na wysokości trzech, a może czterech metrów nad ziemią, a rozwścieczony lew rzucał się w jego stronę. Nagle w głębi jednego z sektorów rozległ się okrzyk:

— Ludzie, to oszust!

Krzyczał jakiś młody, smagły osobnik z wąsikiem. W powieściach tak opisują Hiszpanów.

— Ludzie — wrzeszczał ów osobnik — udowodnię wam, że to oszust!

Ci, do których się zwracał, patrzyli zdumieni. Przed chwilą przerażeni byli sytuacją bezbronnego pogromcy. A ten bezbronny i wystraszony pogromca ma być oszustem? Coś tu się nie zgadza. Czekajmy więc. Już za chwilę się wyjaśni. Za moment, gdyż ten osobnik wyglądem Hiszpana przypominający zwinnie przesadził ogrodzenie z krat, zaszedł od tyłu lwa czającego się do kolejnego skoku w stronę zawieszonego pogromcy i wymierzył mu siarczystego kopniaka.

Nie wiem, czy to lew zawył, czy był to ryk publiczności, która zawyła z zachwytu. Lew odwrócił się i nie wiadomo kiedy znalazł się na piersi tamtego. Upłynęła chwila, a lew nie przestawał szarpać swego napastnika. Kilka pań obok mnie zemdlało. Wbiegło siedmiu pracowników cyrku uzbrojonych w coś, co mogę nazwać tylko rodzajem wideł i poczęło odpędzać lwa. Z trudem udało im się zapędzić zwierzę w stronę wybiegu. Gdy lew znikł za kratami, wszystkie oczy zwróciły się w kierunku pogromcy. Począł on z wolna zsuwać się z krat i na dygocących nogach przemierzał arenę, kierując się w stronę wyjścia. Nikt nie gwizdał ani nie miotał obraźliwych słów. Obserwując go zastanawiałem się czy wykona ukłon dla widowni będąc pośrodku areny. Nie wykonał.

Pogromcę poznałem kilka dni wcześniej. Zjawił się wtedy w moim biurze prywatnego detektywa. W pierwszej chwili rzucał się w oczy jego nos. Długi i chudy, przy nozdrzach rozchylony. Gdyby nie przedstawił się jako treser zwierząt, wziąłbym go za klowna, który zapomniał zdjąć przyklejony nos. Podejrzliwie popatrzył po sprzętach, lękliwie wyjrzał oknem i starannie zamknął drzwi. Tworzył klasyczny obraz człowieka wystraszonego. Byłem przekonany, że wybiegająca spod szafy mysz mogła napędzić mu sporo strachu. Jego specjalnością, dowiedziałem się już o tym z rozmowy, była tresura lwów. Zwłaszcza jednego imieniem Baltazar. Była to rzekomo bestia niespotykanych rozmiarów. Spokój pogromcy od pewnego czasu został zakłócony, on zaś tracił ochotę do pracy. Od kilku dni otrzymywał listy z pogróżkami. Nieznany pogromcy osobnik żądał okupu, w wypadku odmowy groził śmiercią. Pogromca odmówił Większość moich klientów w podobnych sytuacjach odmawia. Dochodzą oni bowiem do bardzo rozsądnego wniosku, iż wynajęcie sprytnego detektywa kosztuje znacznie mniej niż żądania anonimowego oprycha.

— Ma pan te listy? — zapytałem.

Obszukał wszystkie kieszenie, powyciągał z nich różne przedmioty i dopiero przypomniawszy sobie coś sięgnął do kieszeni, którą do tej pory dziwnym zbiegiem okoliczności omijał i wyciągnął dwie zmięte koperty. Przeglądając je zapytałem:

— Szukał pan już pomocy?

— Tak, byłem u wróżki. Wróżyła mi — tu zniżył głos do szeptu — iż niebezpieczne może okazać się dla mnie metalowe ostrze. Czyżby miała na myśli nóż? — dodał po chwili.

Mój klient sprawiał wrażenie człowieka załamanego. Chciałem go podnieść na duchu. Opowiedziałem mu, że w swojej karierze detektywa miałem do czynienia z wieloma groźnymi przestępcami. Ten zaś, na to mu daję słowo detektywa, sądząc ze stylu listów nie jest zbyt inteligentny ani specjalnie przebiegły. Jest raczej nowicjuszem, który dopiero stawia pierwsze kroki na tej drodze i z pewnością daleko nią nie zajdzie. Dam sobie z nim radę, zapewniłem tresera. Potrzebuję jednak trochę czasu na rozeznanie się w sytuacji, a panu, tu zwróciłem się do mego klienta, proponuję zniknąć na kilka dni.

— Teraz?

— Właśnie teraz. Póki nie jest jeszcze za późno.

— W żadnym wypadku. Za dwa dni muszę się zjawić w cyrku Dżungla. Mój numer — Dziecko dżungli — będzie gwoździem programu. Mam podpisany z nimi kontrakt. Nie chodzi tu o pieniądze. Oddam je panu wszystkie w zamian za zapewnienie bezpieczeństwa. Przeżywam teraz najszczęśliwsze dni. Odniosłem sukces. Wreszcie coś mi się udało. Osiągnąłem cel. Mam okazję odegrać się za wszystkie moje niepowodzenia. Jestem szczęśliwy, jestem dumny z siebie. Proszę mnie dobrze zrozumieć, zrozumieć człowieka, który może wyprawiać z lwem to, na co mu przyjdzie ochota. Może go tarmosić za grzywę, targać za ogon i ciągnąć za uszy. Tak, przyznaję, naigrywałem się z otwartych z przerażenia gęb i oczu z podziwu wychodzących z orbit. Nie mógłbym występować jako klown czy żongler. Jestem zwykłym człowiekiem, ani lepszym, ani gorszym, ni mniej odważnym, ni więcej niż inni. Czasem, przypuszczam zresztą, że jak każdego, nachodzą mnie myśli, by zadziwić wszystkich. Chwytałem się różnych zajęć. Tresowałem pieski, ptaszki, żabę i żyrafę. Czy sądzi pan, że warto poświęcić pięć, sześć lat życia po to tylko, aby nauczyć słonia stania na trąbie? Czy przez te lata warto znęcać się nad zwierzęciem, wynagradzać cukrem za postępy i karać biczem za opory? Nie, nie jestem wrażliwy. Co prawda nie potrafię zarżnąć kupionej ryby jeśli jest żywa. Gdy muszę ją zatłuc, nakrywam gazetą i tasakiem staram się wycelować gdzieś najbliżej łba. Proszę się nie uśmiechać. To nie wrażliwość, to filozofia. Lubię łowić ryby i nie raz wyłowione zabijałem na miejscu. Zwyczajnie łbem o obcas buta. Po prostu wygrałem z nimi walkę o byt. Potrafiłbym zarąbać uciekającego wieprza, zatłuc kołkiem atakującego psa. To chyba wszystko o mnie, o moim stosunku do zwierząt i publiczności. Mogę liczyć na pana?

— Oczywiście. Proszę jednak o całkowite podporządkowanie się mym zaleceniom.

Poleciłem, by zabrał kilka najpotrzebniejszych rzeczy i wyjechał na kilka dni w ustronne miejsce. Prosiłem o informowanie mnie o każdym kroku. Zobowiązał się zadzwonić do mnie jeszcze dzisiaj z dworca, następnie z miejsca swego pobytu. Innej pomocy chwilowo udzielić nie mogłem. Kiedy zostałem sam, zacząłem obmyślać plan działania. Czas płynął. Był już późny wieczór, a ciągle nie miałem wieści od pogromcy. Telefon nie dzwonił w ciągu nocy, nawet rano. Zaniepokojony ruszyłem na poszukiwania. W krótkim czasie ustaliłem, iż właściciel cyrku uwięził go w klatce. Miał wypuścić go dopiero w dniu występu i to prosto na arenę. Nie wiedziałem jeszcze czym kierował się właściciel stosując tak drastyczne środki.

Stało się jednak tak, jak obmyślił to sobie właściciel cyrku. Mój klient został wpuszczony w dniu występu i to prosto na arenę. Niestety, na arenę nie wpuszczono Baltazara lecz inną bestię.

Zastanawiasz się pewnie, czytelniku, czemu tak się stało? Oczywiście, maczałem w tym palce. Wcześniej jednak rozszyfrowałem tresera. Jego lew był nadmuchiwany!

Ile osób o tym wiedziało? Ja, treser, anonimowy prześladowca.

Jak to odgadłem? Bardzo prosto.

Szantażysta groził śmiercią pogromcy nie zaś zwierzęciu. Chociaż dla tego drugiego śmierć zwierzęcia równała się klęsce. Wydało mi się to podejrzane, ponieważ kara za ukatrupienie lwa jest znacznie niższa niż za zabójstwo tresera. Za zniszczenie nadmuchiwanego lwa praktycznie nie ma żadnej kary. Szantażysta dawał do zrozumienia pogromcy, że nie interesują go treserskie sztuczki z nadmuchiwaną bestią. Dla niego bowiem ważne były tylko pieniądze. Chciał więc, by nadmuchiwaniec przynosił dochody im obu. Pogromca jednak nie wyrażał zgody. Niestety, nawet przede mną usiłował zataić tajemnice Baltazara.

Miałem już przygotowany plan działania. W nocy poprzedzającej występ zakradłem się do klatki, wepchnąłem szpilkę w zad Baltazara, poczekałem aż wyjdzie z niego powietrza, po czym schowałem go za pazuchę.

Co działo się, kiedy wykryto brak Baltazara?

Mogę się tylko domyślać. Właściciel z pewnością nie chciał słyszeć o odwołaniu numeru. Zmusił tresera do występu z innym lwem. Z pewnością nie przyjmował żadnych wyjaśnień.

Tymczasem szantażysta, nie mogąc dać sobie rady z wyłudzeniem pieniędzy, postanowił zdemaskować pogromcę. Pech chciał, że treser występował z prawdziwym lwem. Tego nie przewidział, bo przewidzieć nie mógł i dlatego skończył niezbyt chlubnie.

Mówisz, czytelniku, że swym lekkomyślnym i szaleńczym postępowaniem narazić mogłem tresera?

Przewidziałem fakt, że będzie salwował się ucieczką, przewidziałem i to, że żaden lew nie dosięgnie człowieka siedzącego na kracie chroniącej publiczność przed zwierzętami z areny. Zapewni cię o tym każda osoba z dwutysięcznej widowni owego pamiętnego widowiska.

---

stra w lirycznej, spokojnej cz. II (Larghetto) oraz w cz. III (Allegro), nawiązującej w swej formie przyspieszonego menueta nie do późniejszego Beethovenowskiego scherza, lecz do tradycji symfonii Haydna. Nie było jednak dane nam cieszyć się zbyt długo: w finałowym rondzie, operującym efektowną oscylacją dwóch tematów żartobliwych i kontemplacyjnego wątku pobocznego, w tej części dynamicznej, świetnie zinstrumentowanej, mogącej być popisem orkiestry, filharmonicy lubelscy wypadli znów dość blado. Zabrakło pewnego zdyscyplinowania, które było tu konieczne — grupy instrumentalne nie zawsze brzmiały czysto, zdarzało się im też nie wytrzymywać nagłych zmian tempa. W sumie jednak wykonanie należy uznać za udane, głównie za sprawą dyrygenta i jego konsekwentnej, spójnej wizji utworu, w której postawił na wyeksponowanie wątków niejako zapowiadających dojrzałego Beethovena, nie rezygnując, rzecz jasna, z odsłonięcia różnorodnych pokładów tradycji. Zygmunt Rychert ma wszelkie zadatki na mistrza batuty: dojrzałość artystyczną, dużą wrażliwość interpretacyjną, temperament i konsekwencję.

Uwaga na prawach dygresji: czy nie warto byłoby, decydując się na koncert rocznicowy, odejść od stereotypu (III, V czy VII Symfonia), ale i nie przedstawiać Beethovena niedojrzałego, obracającego się w świecie muzyki Haydna i Mozarta? Z radością posłuchałbym Czwartej lub prześlicznej Ósmej, nie często przecież wykonywanych. Podobne wątpliwości wypada zgłosić i pod adresem I Koncertu C-dur op. 15. Znów ukazuje on Beethovena przez pryzmat młodzieńczego okresu jego twórczości, a przecież marzyłby się tu Trzeci (z urzekającym Largo), Czwarty, a zwłaszcza Piąty, wyznaczający punkt dojścia muzyki klasycznej.

Pierwszy, ukończony w 1798 roku, w stylu quasi-Mozartowskim, był dziełem pragnącego się wybić pianisty. Stąd jego czysto zewnętrzna błyskotliwość przy pewnym niedostatku myśli, co uderzało szczególnie w przetworzeniu cz. I (Allegro con brio), interesującym harmonicznie, trudnym technicznie — ale jednak pustym. Część środkowa (Largo), mająca charakter tematu z wariacjami, dawała pole do popisu zarówno soliście, jak i dobrze dla odmiany brzmiącej orkiestry (piękne solo klarnetowe Andrzeja Mazura). Finałowe Rondo swoją ludyczną żywością bardziej zbliżone było do niektórych kompozycji Haydna, niż do rond Mozarta. I tu znów pochwalić należy orkiestrę — posłuszną tym razem inspiracjom dyrygenta — zwłaszcza za rozwinięcie pierwszego tematu, obojowe Adagio i efektowną kodę.

Centralną postacią koncertu okazał się przecież laureat I nagrody konkursu w Genewie (1967), Jerzy Sulikowski, jeden z wyróżniających się pianistów polskich młodego pokolenia. Jego wykonanie było spójne i przemyślane (zwłaszcza w Rondzie), układające się w logiczny ciąg interpretacyjny, zgodny z dostarczanymi przez tekst muzyczny impulsami. Te niewątpliwe atuty gry Sulikowskiego, wsparte doskonałą techniką, inwencją i wyczuciem stylu sprawiły, że nie najciekawszy Koncert C-dur nabrał pewnego blasku, prezentując się jako dzieło wprawdzie nie wybitne, ale interesujące.

W sumie lubelski koncert rocznicowy ocenić trzeba wysoko, choć mógł on — o czym wyżej — pozostawić wrażenie pewnego niedosytu.

Kamena str. 11

HRUBIESZÓW TERAZ

Dokończenie ze str. 7

dróg i ulic w mieście 30,1 km posiada nawierzchnię ulepszoną (głównie asfalt), 11,7 km nawierzchnię nieulepszoną (bruk), a tylko 5 km nawierzchnię gruntową. Jest to proporcja znacznie lepsza niż w samym wojewódzkim Zamościu, a nawet w Lublinie! Ponadto Hrubieszów posiada 20,4 km chodników ulepszonych (czyli normalnych). W druku sprawozdania dla GUS istnieje także rubryka: chodniki nieulepszone. Ale w Hrubieszowie jej nie wypełniają, wychodząc ze słusznego założenia, iż albo jest chodnik, albo go nie ma!

Słyszę o kilku ulicach, gdzie ostatnio położono dywanik asfaltowy, zainstalowano światło uliczne, i zastanawiam się, dlaczego tej wody i błota tak wiele w Hrubieszowie? „Po prostu" — utwardza się drogi i ulice, buduje nowe, lecz od długich lat nikomu nie przyszło do głowy, że równocześnie trzeba budować kanały burzowe, bo inaczej woda będzie tworzyła bajora, będzie rozmywała asfalt, zaś ruch kołowy dokona reszty, co też się i dzieje!

Owszem, w Hrubieszowie wiadomo, że powinny być kanały burzowe, ale się ich nie buduje. Tę informację kazałem sobie powtórzyć kilka razy, tak wydawała mi się niewiarygodna. Idzie bowiem o pieniądze dosłownie topione w błocie; był powiat, nie ma powiatu, wszystko jedno!

Rozumiem, że czasem pewne inwestycje łatwiej było „przepchnąć", gdy chodziło o miasto powiatowe. Że od prężności powiatowej władzy wiele zależało. Że taki Hrubieszów musi niekiedy umiejętnie manewrować w obrębie nowo-wojewódzkich układów. Że miasto, praktycznie w całości skanalizowane, ma teraz kłopoty z centralnym ujęciem wody, których to kłopotów mogłoby nie być, gdyby... Zaś termin oddania ujęcia nie musiałby być trzykrotnie przesuwany, gdyby... Że domu kultury, po prostu brak w Hrubieszowie, ale może powstanie w końcu jako dom przyjaźni polsko-radzieckiej. Pomysł zresztą jest przedni i w stu procentach uzasadniony ze względu na bliskie kontakty Hrubieszowa z bratnim Włodzimierzem i Łuckiem!

Myślę jednak, iż niezależnie od rozmaitych konfiguracji nie warto się oglądać na, wątpliwą zresztą, świetność powiatową, czy na profesora Zina, lecz ze zdrowym rozsądkiem i wyobraźnią czynić na miejscu, co możliwe. Owszem, byłaby to kwestia starania o środki ale głównie kwestia pewnej postawy, określonego przekonania wewnętrznego, może wreszcie wiary nawet.

Drobny przykład. Był powiat, nie ma powiatu, a hrubieszowscy modelarze-lotnicy, pod wodzą Wiesława Korczaka, jak osiągali, tak i osiągają bezsprzeczne sukcesy w skali krajowej i międzynarodowej. Teraz im zamojski aeroklub powiada: „Przejmiemy was od Lublina". „Prosimy bardzo — odpowiadają — zapewnijcie tylko niezbędne warunki". Bo przecie tu nie chodzi o jakiś trywialny przetarg, w którym zasadniczą rolę odgrywałyby międzywojewódzkie antagonizmy. Przynajmniej nie o to idzie hrubieszowskim modelarzom, oni chcieliby spokojnie oddawać się swemu sportowi, jak potrafią najlepiej.

Inny przykład — że można... W pewnym okresie całe województwo zamojskie otrzymało 12 ton śledzi, sam zaś Władysław Bojko, kierownik hrubieszowskiej restauracji „Kasieńka", zamówił z tego i otrzymał aż 3 tony. Ale wojewoda chciał się dowiedzieć, po co kierownikowi Bojce tyle śledzi. Ano po to, żeby rozmaite specjalności kuchenne przyrządzać wedle własnej receptury i sprzedawać je na pniu. Podoba mi się i ten kierownik restauracji z ambicjami, i ten wojewoda, którego zainteresował taki, pozornie tylko, drobiazg. A klientem „Kasieńki" sam byłem przez parę dni i chwalę sobie tę kuchnię. Zresztą byłem także klientem hrubieszowskiego handlu (księgarni, branży spożywczej oraz ubraniowej) i nie dziwię się, że handel tamtejszy ma opinię jednego z najlepszych w województwie.

Z pytaniem, jak się administruje i zarządza miastem, które przestało być powiatowym, a nie zostało wojewódzkim, udałem się do naczelnika Hrubieszowa, Stanisława Pawłosia. Lecz wpierw nieco personaliów:

— Od dawna pan w Hrubieszowie, panie naczelniku?

— Mieszkam tu przeszło dwadzieścia lat, przybyłem jako dwudziestoletni chłopak. Przez lata byłem felczerem. Potem studia administracyjne pierwszego stopnia. Następnie byłem naczelnikiem gminy Werbkowice, która za mojej kadencji zajmowała najwyższe miejsca w wojewódzkiej edycji turnieju „Mistrz Gospodarności". Wyprowadziło się gminę tak, że już wszyscy w urzędzie mieściliśmy się w ośmiogodzinnym dniu pracy. Naczelnikiem Hrubieszowa jestem od 1 lutego 1976 roku, w dwa miesiące po nominacji obroniłem pracę magisterską pt. „Funkcja koordynacyjna naczelnika gminy".

— Podejrzewam, iż teraz nie mieści się pan w ośmiogodzinnym dniu pracy. A na czym polega funkcja koordynacyjna naczelnika miasta takiego jak Hrubieszów?

— W okresie Polski powiatowej funkcje naczelnika w ogóle były raczej reprezentacyjne, no i samochód służbowy, zdaje się, przysługiwał. Dziś samochód nie przysługuje, bo miasto ma poniżej 20 tysięcy ludności, lecz obowiązki i kompetencje naczelnika wzrosły, przynajmniej w myśl przepisów.

— I słusznie?

— I słusznie!

— Czy dyrektorzy przedsiębiorstw znajdujących się w Hrubieszowie respektują pańskie kompetencje?

— To się powoli dociera. Dawniej na comiesięczne narady w Urzędzie Miejskim przychodzili zastępcy dyrektorów, teraz zjawiają się już sami dyrektorzy. Trochę za małe natomiast mam możliwości wobec inwestorów zastępczych ze szczebla wojewódzkiego, ale zawsze mogę wystąpić z wnioskiem do Zamościa o konsekwencje służbowe wobec ludzi, którzy w naszym mieście nie wywiązują się jak należy ze swych powinności. Tak się stało w stosunku do dyrektora oddziału Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej. W Hrubieszowie wydajność roczna na jednego pracownika w tym przedsiębiorstwie wynosi 117 tysięcy złotych, w Zamościu 220 tysięcy. To mówi za siebie! I to zwalczamy.

— Więc czuje się pan coraz bardziej gospodarzem miasta, a jak jest na terenie samego urzędu?

— Naczelnika rozlicza się z efektów, nie ze struktury urzędu. Ta jest płaska, tylko jednoosobowe i wieloosobowe stanowiska pracy; bez wydziałów, jak dawniej. Mogę swoje uprawnienia cedować na osoby trzecie, mogę rozmaicie przydzielać zakres czynności. Tu mam dużą swobodę, szczególnie w upraszczaniu administracji.

— Na koniec: czym żyjecie, jeśli idzie o perspektywy miasta?

— Budową linii kolejowej, magistrali hutniczo-siarkowej z Hrubieszowa do Katowic. Już wiemy, że będzie dodatkowe budownictwo mieszkaniowe, oczywiście dla pracowników i budowniczych przyszłej magistrali. Będzie szereg inwestycji zasadniczych i towarzyszących, choćby przedszkola, żłobek, którego w ogóle brak w Hrubieszowie. Są perspektywy...

W Hrubieszowie usłyszałem i takie opinie, że miasto jeszcze „leci" rozpędem powiatowym i to się już kończy. Że zamojska metropolia żyje kosztem Hrubieszowa. Spotkałem się z odczuciem, że hrubieszowianie zostali pozostawieni sami sobie, miasto ogołocone z kadry, możliwości finansowych.

Myślę, że są to przejściowe frustracje. Nakłady inwestycyjne w Hrubieszowie wyniosły w latach 1971—1975 przeszło 109 milionów złotych. Na lata 1976—1980 zaplanowano 375 milionów. Takie tempo nie bierze się z łaski opatrzności, jakby wbrew temu, że zniesiono powiat. Takie tempo nie może być zaskoczeniem, jeśli się weźmie pod uwagę przyspieszony ostatnio rozwój naszego kraju. Tak myślę, aczkolwiek utrzymuję w mocy pytania i wątpliwości szczegółowe, które się pojawiły w tym tekście.

Maciej Podgórski

Jak drzewiej dzieci żeniono

Dokończenie ze str. 3

cej. Wreszcie i orkiestra zrobiła swoje. Nawet „słodził" Władzio wódkę, co była „gorzka".

Władzio Szajnóg doczekał trzech synów. Jeden zmarł w młodości. A drugi żyje do dnia dzisiejszego i gospodarzy na ojcowiźnie. Trzeci wyjechał do Turobina i tam gospodarzy, gdzie ongiś gospodarzył jego dziadek — młynarz. Władzio umarł już około 20 lat temu. A jego żona żyła jeszcze dość długo i może cztery a może pięć lat minęło od jej pogrzebu.

Ale ludzie wiele pamiętali i wiele opowiadali o tym oryginalnym ożenku Władzia Szajnoga z Marysią Budkówną.

Dziś już takich wydarzeń nie ma. A jeśli są, to nie występują w takiej postaci. Ale jest faktem, że do czasu wojny i zaraz w pierwszych latach powojennych swatanie było tu modne.

Ja żeniłem się w 1947 roku. Już nie korzystałem z dobrodziejstw swata. Moi bracia także żenili się bez swatów. A mój syn może już nie zna dokładnie tego zwyczaju. Ożenił się sam. Nawet mnie nie pytał o zdanie.

Wesela w naszej wsi i w naszej okolicy bywały i teraz są różne. To zależy od stanu zamożności i od chęci rodziców panny młodej i pana młodego. Biedacy nie urządzali wesel. A jeżeli urządzali jakieś przyjęcie, to bardzo skromne. Natomiast bogatsi gospodarze urządzali wesela huczne. Czasem takie wesele trwało tydzień. A czasem dłużej.

Pamiętam wesele sąsiada Marcela Kaleniaka z Olchowca. Trwało dwa tygodnie. Goście rozjeżdżali się i przyjeżdżali ponownie. Pili, jedli i tańcowali. Grały dwie albo trzy orkiestry.

Tak było przed wojną i tak było przez wiele lat powojennych. Obecnie już widać poważne zmiany. Po prostu coraz mniej wesel. Młodzi wyjeżdżają do miast i tam biorą śluby. Jakieś przyjęcie urządzają w restauracjach. Ale czy to można nazwać weselem?! [...]

Pamiętam czasy przedwojenne. Wtedy śluby były tylko kościelne. Śluby cywilne może gdzieś istniały, ale nie u nas. Ale pomiędzy tymi ślubami były ogromne różnice — w tak zwanej oprawie. Dla ludzi bogatych były pościelone dywany przed ołtarzem, a od progu kościoła do samych dywanów był pościelony chodnik. Dla bogatych świeciło się tyle świateł, że można było rzec, iż kościół tonie w tych światłach.

Dla biedoty nie było tych przepychów. Dla biedoty świeciła się na ołtarzu jedna świeczka i to musiało wystarczyć.

Jeszcze były inne różnice. Ludzie bogaci brali śluby na tak zwanych „nieszporach", wieczorem. Natomiast biedota brała śluby na sumie, czyli w porze obiadowej, w czasie nabożeństwa popołudniowego.

Były jeszcze inne zasady i wymagania. Biedni musieli być w kościele już przed sumą i na całym nabożeństwie. Dopiero po nabożeństwie odbywały się śluby. Czasem kilka par nowożeńców czekało na ślub.

Biada było tej parze młodych, która spóźniła się do kościoła na nabożeństwo! Ksiądz odmawiał dania ślubu. Trzeba było wtedy „składać dodatkową ofiarę".

Dziedzice, ziemiaństwo, a nawet niektórzy urzędnicy brali ślub o innych porach dnia, najczęściej pomiędzy „sumą" a „nieszporami". Ja żeniłem się już po wojnie. Brałem ślub najpierw cywilny, a później kościelny. Podobnie postąpił mój syn w 1975 roku.

Są już w Borowie małżeństwa żyjące tylko po ślubie cywilnym, ale narażają się one czasem na pewne przykrości ze strony ludności tutejszych wsi.

Jeszcze wspomnę o jednym zjawisku weselnym, a mianowicie o „gościach siennych". Dziś ich prawie nie widać, ale kiedyś byli plagą naszych wesel wsiowych. Gościami siennymi nazywali tych, którzy przychodzili na wesele, mimo, że nie byli proszeni. Stawali w sieni i czekali na reakcję gospodarzy wesela. Jeżeli gospodarz poczęstował ich wódką i zakąską, jeżeli pozwolił im potańczyć, to najczęściej odchodzili i zostawiali gości weselnych w spokoju. Ale bywało i inaczej. Czasem goście proszeni na wesele oburzali się na gości siennych. Wtedy dochodziło do awantury, czasem do poważnych bójek.

Tu nadmienię pewien drobiazg, a mianowicie ten, że w szeregi gości siennych włączali się najczęściej ci ze służby, którzy nie dbali o swoją ambicję. Najczęściej byli to parobcy, pastuchy, często fornale ze dworu. Nie znam przykładu mówiącego, że gościem siennym był ktoś ze szlachty borowskiej lub szlachty z okolicznych wiosek tutejszych. Czasem synowie chłopscy chodzili na „sienniaków", ale było to traktowane jako ujma dla nich.

Na weselach tańczono wtedy (także w pierwszych latach powojennych) przede wszystkim: polki, walce, oberki, tanga i fokstroty. Inne tańce były mi znane z zabaw wsiowych. Najczęściej tańczono u nas kujawiaka, a czasem poloneza.

Obecnie tańce są jakieś cudaczne. Nie umiem ich nazwać. Nie lubię patrzeć na te modne konwulsje. Napawają mnie obrzydzeniem. Są wstrętne. Odbierają człowiekowi jego godność ludzką. Zamieniają człowieka w jakieś stworzenie z pomieszana inteligencja.

Edward Rudnicki

Niedawno rozstrzygnięto konkurs na pamiętniki ogłoszony przez Muzeum Wsi Lubelskiej pod hasłem „Moja wieś dawniej i współcześnie". Wartościowa inicjatywa lubelskiej instytucji przyniosła oczekiwane rezultaty, bowiem na konkurs wpłynęło 45 interesujących prac tyluż autorów z kilku województw kraju. Sąd konkursowy „stwierdził bardzo wysoki poziom nadesłanych prac. Czasowo — na zasadzie pośrednich wspomnień — materiały konkursowe obejmują okres od czasów pańszczyzny (na zasadzie wspomnień dziadków pamiętnikarzy) aż po czasy nam współczesne. Konkurs daje bogaty materiał poznawczy w zakresie kultury wsi — materialnej, duchowej i społecznej..."

Publikujemy fragment pamiętnika Edwarda Rudnickiego (II nagr.). W następnych numerach „Kameny" przedstawimy inne prace, które wydały nam się interesujące. (Red.)

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

Już od dawna lublinianie użalali się i użalają na rozmaite niedogodności teraźniejszego teatru, pomijając zbyteczną szczupłość krzeseł w ostatnich rzędach (co na upartego byłoby do poprawienia), pomijając niskość galerii, w której człowiek tylko zgięty w kuczki przebywać może, pozostają jeszcze niełatwe do usunięcia takie wadliwości jak haniebny rezonans, który męczy mówiących i śpiewających na scenie, dalej zupełny brak foyer lub chociażby korytarzy do przejścia się i ochłonięcia.. wreszcie cała budowa teatru nieestetyczna i obie uliczki, na których zetknięciu jest postawiony, wąziutkie, prawie bez chodników i niemożliwe do zawrócenia ekwipażem (...) — oto kardynalne zarzuty, które budowę teatru nowego, znośnego dla trzydziestotysięcznej ludności naszego miasta czynią prawie niezbędną. (...) Na podobną decyzję miasta niewątpliwie znacznie wpłynęło oświadczenie pana Kozaryna, że pragnie wybudować nowy teatr na własny koszt i ryzyko. (...) Miasto, choć ma znaczne oszczędności w banku, nie może jednak obracać ich na tego rodzaju przedsiębiorstwa do pewnego stopnia ryzykowne, zwłaszcza gdy inne daleko bardziej naglące wydatki na cele użyteczności publicznej, a przede wszystkim szkoła realna oczekują może znacznych ofiar pieniężnych.

„Kurier Lubelski"

PRZED 50 LATY

Idziemy wciąż naprzód, dążymy do coraz większych ułatwień życiowych, wygód, uproszczeń w pracy i zajęciach naszych. To, co dawniej było luksusem, dziś staje się rzeczą powszednią, niezbędną niemal. Przykładem jest tu choćby użycie telefonów. Kiedy w roku 1925 organizował się w Lublinie P. A. S. T. — zgłosiło się 500 abonentów, nie upłynęło jeszcze dwóch lat a jest ich już 1060 i z dniem każdym zgłaszają się nowi. Zarząd Poczty pragnąc zaspokoić potrzeby miasta rozpoczął przebudowę linii telefonicznych, powiększa ilość kabli, bez czego nie byłby w możności przyjmować nowych abonentów. Powiększane są kable magistralne i rozdzielcze. Magistralne w rejonie ulicy Lubartowskiej oraz od Szopena aż do 8 p. p. leg. Kable rozdzielcze powiększone zostaną w rejonie ul. Szpitalnej, Magistratu, Rynku, dworca kolejowego i Kalinowszczyzny. Roboty zostały już rozpoczęte.

●

Magistrat m. Lublina przystąpił do instalacji aparatu radiowego w szkole powszechnej na Czwartku. Z radia tego korzystać będzie nauczycielstwo szkół powszechnych, słuchając specjalnie zorganizowanych przez Ministerstwo W. R. i O. P. odczytów pedagogicznych. Również i młodzież szkolna będzie korzystała z odpowiednich koncertów i odczytów.

●

W najbliższej przyszłości uruchomiona zostaje przez Magistrat cegielnia na Dziesiątej. Przygotowania do otwarcia kampanii są w pełnym toku. Obecnie remontuje się piec do wypalenia cegły. W dalszym ciągu robotnicy przygotowują glinę do wyrobu cegły. Przewidziany jest w roku bieżącym większy niż w latach ubiegłych wyrób cegieł, by w ten sposób pokryć zapotrzebowanie cegły w prowadzonych budowlach miejskich, a nawet pewną część przeznaczyć dla prywatnych nabywców, szczególnie tych, którzy mają przystąpić do budowy domów na wydzielonych sobie działkach parcelacyjnych na Dziesiątej

●

„Głos Lubelski"

●

Jeden z najsłynniejszych twórców mody paryskiej Paweł Poiter udzielił niedawno wywiadu w którym wypowiada się na temat mody kobiecej i próbuje kreślić sylwetkę eleganckiej kobiety z w 1955. Przepowiednie tego rodzaju są oczywiście bardzo niepewne, albowiem fantazja ludzka jest bardziej ograniczona aniżeli kaprysy mody. Czyż krawiec z 1895 roku produkujący suknie do ziemi z obcisłymi stanikami, z wystającymi biodrami mógł przypuszczać, że za kilkadziesiąt lat kobiety przywdzieją króciutkie sukienki, odrzucą gorset i zamiast kunsztownych koafiur lansować będą chłopięce fryzury? Poiter przepowiada powrót jupe-culottów w najrozmaitszych formach. Ta moda spodni utrzyma się tak długo, tak długo trwać będzie moda krótkich włosów. (...) Moda ta z dnia na dzień zataczać będzie coraz szersze kręgi i stosowaną będzie nawet do toalet wieczorowych. Po tym okresie wybitnie męskiej linii przyjdzie lekka reakcja, która zaznaczy się powrotem do form fantazyjnych. (...) Sylwetka kobieca powoli zacznie się znowu feminizować, moda chudości ustępować będzie stopniowo estetycznej krągłości. Biodra i piersi odzyskają swoje prawa. (...)

„Ziemia Lubelska"

Wybrała Zofia Luchowska

Sgraffito

DNIA 12 grudnia 1975 roku została aresztowana Zofia K., jedna z grona lubelskich artystów-plastyków, członkini ZPAP, pod zarzutem zagarnięcia ponad 200 tysięcy złotych na szkodę Pracowni Konserwacji Zabytków w Lublinie. Z materiałów śledztwa wynikało, że Zofia K. wraz z innymi osobami, wykonując na zlecenie PKZ prace plastyczne przy elewacjach dwu zabytkowych kamieniczek lubelskiej starówki, pobrała wynagrodzenie za większy od faktycznie wykonanego zakres robót, a w dodatku według zawyżonych cen. Powstałą w ten sposób nadpłatę wyliczyło poszkodowane przedsiębiorstwo, czyli PKZ.

Zofia K. jest osobą niekaraną, kobietę dojrzałą, matką 24-letniej córki, doświadczonym plastykiem, i już wykonywała uprzednio prace przy elewacjach zabytkowych kamieniczek w Lublinie. Dla takiego człowieka, który zajmuje wysoką pozycję społeczną i nigdy dotąd nie wszedł w konflikt z prawem, pobyt w areszcie stanowi szok moralny, mogący przynieść załamanie psychiczne. Dlatego też decyzja o zastosowaniu aresztu w takim przypadku musi być szczególnie wnikliwie rozważona, poparta wyczerpującym materiałem śledztwa.

Decyzję aresztowania motywował prokurator tym, iż *podejrzanej zarzucono czyn, którego stopień społecznego niebezpieczeństwa jest znaczny.* Rozmawiałem wówczas z kilkoma całkiem postronnymi osobami ze środowiska artystycznego w Lublinie, określali aresztowanie Zofii K. jako pochopne. Przyznałem im wtedy rację i nie cofam tego obecnie, co nie znaczy, że interesy i rozliczenia Zofii K. z PKZ uważam za kryształowo czyste.

Aresztowana złożyła zażalenie do Sądu Wojewódzkiego w Lublinie na decyzję prokuratora. Sędziowie uznali, że dokonane przez PKZ wyliczenie nadpłaty musi być zweryfikowane przez bezstronnych fachowców z zewnątrz; w pracach plastycznych, według umowy-zlecenia, uczestniczyło pięć osób, zaś śledztwo i areszt objęły tylko jedną, obciążając ją całą kwotą; pobyt aresztowanej w warunkach więziennych może wpłynąć na pogorszenie jej stanu zdrowia.

W tej sytuacji Sąd postanowił 2 lutego 1976 r. uchylić areszt tymczasowy i zarządzić niezwłoczne zwolnienie Zofii K., *zważywszy, że podstawa przedstawionego podejrzanej zarzutu jest kwestyjna, tak co do charakteru czynu, jak i wysokości kwoty, że dowody w sprawie zostały zabezpieczone, zatem obawa matactwa nie zachodzi. Więc zastosowanie środka zapobiegawczego — tymczasowego aresztowania — nastąpiło, zdaniem Sądu, co najmniej przedwcześnie.* To zaskarżone przez prokuraturę postanowienie Sądu Wojewódzkiego utrzymał w mocy Sąd Najwyższy, i nieprawidłowość postępowania karnego została zlikwidowana, aczkolwiek sentymentalna Maria Konopnicka mogłaby się tutaj spytać, kto poszkodowanej zwróci łzy wylane?

Zofia K. na wolności, ale śledztwo toczyło się dalej i ostatecznie w styczniu 1977 roku wpłynął do Sądu Wojewódzkiego akt oskarżenia przeciwko Zofii K. (zagarnięcie ponad 200 tysięcy złotych i fałszerstwo dokumentacji rozliczeniowej) oraz przeciwko pracownikowi PKZ, Marianowi I. (brak nadzoru, fałszerstwo dokumentacji). Tak więc prokuratura dopatrzyła się winy również ze strony przedstawiciela PKZ, który miał nadzorować roboty wykonywane przez Zofię K. i pozostałe cztery osoby, podpisane na umowie-zleceniu.

Oboje oskarżeni będą odpowiadać z wolnej stopy i nie zamierzam tutaj wyrokować o stopniu ich winy, nasileniu złej woli, wysokości obciążających ich kwot. To należy do sądu. Ale już na podstawie samego aktu oskarżenia widać, iż do przepadku społecznego mienia w zasadniczy sposób przyczynił się patologiczny wprost bałagan, panujący wówczas w lubelskich PKZ i nie tylko!

Program rewaloryzacji lubelskiej starówki zakłada, że kamienice przy Rynku nr 10 i 11 będą rewaloryzowane później niż pozostałe zespoły staromiejskie. Toteż Miejski Zarząd Budynków Mieszkalnych wystąpił w roku 1972 jedynie o tymczasową renowację zewnętrznego wystroju obu kamienic. Wykonawcą dokumentacji i robót zostały lubelskie PKZ.

Zastępca dyrektora PKZ do spraw naukowo-konserwatorskich wyraził wówczas opinię, że na obu obiektach należy położyć tynki gładkie, zaś o ostatecznym wystroju elewacji decydować dopiero przy kompleksowej rewaloryzacji kamienic. Pogląd nadzwyczaj rozsądny, wynikający z troski o społeczny grosz.

Ostatecznie jednak, wbrew tej opinii, ustalono, że dokona się renowacji istniejących na obu kamienicach elementów sgraffita (ozdób rytych bezpośrednio w mokrym tynku), mimo iż — jak pisze prokurator — ozdoby te, pochodzące z 1954 roku, *wykonane zostały pośpiesznie, na niedostatecznie przygotowanych tynkach, przez osoby o niezbyt wielkim doświadczeniu w tej technice, i nie nawiązują do żadnej wcześniej istniejącej dekoracji oraz nie stanowią substancji zabytkowej.* Zadecydowano, że ozdoby *przyjęły się i zostaną odnowione z zachowaniem dotychczasowej kolorystyki i rodzaju kompozycji.* Decyzja błędna, i ktoś za nią odpowiada — moim zdaniem!

Dalej prokurator: *Zlecenie na opracowanie projektów kolorystyki otrzymał projektant PKZ* (tu imię i nazwisko), *natomiast kosztorysy zlecono starszemu kalkulatorowi pracowni projektowej PKZ* (imię i nazwisko). *Mimo iż wytyczne konserwatora miejskiego z dnia 29 stycznia nie zakładały technik konserwatorskich, kalkulator nieprawidłowo odczytał nie dość precyzyjne ustalenia projektanta i sporządził kosztorys na wykonanie elewacji obu kamienic przy częściowym zastosowaniu technik konserwatorskich. Przy opracowaniu kosztorysów kalkulator niesłusznie oparł się na cenniku zakładowym, nie uzgadniając tego z pionem naukowo-konserwatorskim, jak też nieprawidłowo obliczył powierzchnie elewacji przez nie odjęcie powierzchni otworów okiennych.*

Wybitne siły fachowe zatrudniają lubelskie PKZ! Jeden nieprawidłowo odczytuje nie dość precyzyjne ustalenia drugiego! Faktem jest jednak, że kalkulator zastrzegł w kosztorysie, iż jego ustalenia są orientacyjne tylko, *zarówno technologia jak i zakres prac oraz przedmiar mogą ulec zmianie przy bliższych oględzinach lub w trakcie wykonawstwa, w związku z czym kosztorys nie może stanowić podstawy do zawarcia z inwestorem umowy ryczałtowej.* Po co komu taki kosztorys? — trzeba się zapytać!

Mimo tego umowa między PKZ a inwestorem (MZBM) została zawarta. PKZ miały wykonać roboty elewacyjne na obu kamienicach. W skład owych prac weszła również rekonstrukcja i renowacja sgraffita, na co zgłosiła swój akces Zofia K. PKZ zwarły umowę z Zofią K. i jej czterema ludźmi: jeszcze dwoma plastykami zawodowymi, córką Zofii K., studentką zresztą, i narzeczonym córki, też studentem. Umowa między PKZ a brygadą Zofii K. określa wartość prac na 266 642 złote i poszerza je o wykonanie polichromii wapiennej na obu kamienicach, o czym w ogóle w dokumentacji wykonawczej PKZ nie było mowy, a co jednak w porozumieniu ze starszym kalkulatorem zaakceptował inspektor kalkulacji i rozliczeń PKZ, wszystkiego zaś miał pilnować w ramach nadzoru Marian I. ze strony PKZ. Nie wie lewica, co czyni prawica!

Pod podpisaniu umowy wicedyrektor PKZ zorientował się, że w kosztorysie starszego kalkulatora niesłusznie ujęto prace konserwatorskie, i opracował wytyczne, iż takich prac nie będzie, a zachowane sgraffito zostanie tylko oczyszczone i podmalowane, na co Zofia K. wyraziła pisemną zgodę. I przystąpiono do roboty.

Potem w śledztwie okazało się, że podpisy pary studentów na umowie są sfałszowane, a oni sami w ogóle nie brali udziału w pracach.

Według aktu oskarżenia Zofia K. i Marian I. podpisywali karty pracy z zawyżonymi danymi o stanie zatrudnienia i czasie pracy brygady. Polichromia w ogóle nie została wykonana, a w zamian za to drobne prace, o które nikt nie prosił Zofii K. i jej ludzi. O wiele za dużo policzono w kosztorysie powykonawczym robót wokół rekonstrukcji sgraffita, a wykonano głównie renowację. Przyjęto wykonanie prac konserwatorskich, i to według cennika zakładowego, który w tym przypadku nie może mieć zastosowania. Zmiany zakresu prac (w stosunku do umowy) zauważył i odnotował inspektor nadzoru ze strony MZBM, ale nie wydało się to istotne Marianowi I. nadzorującemu ze strony PKZ! Powstaje też pytanie, dlaczego wicedyrektor PKZ, jedyny sprawiedliwy w tej historii od początku (po zawarciu umowy) nie protestował przeciwko zastosowaniu cennika zakładowego? Czyżby nie czytał tej umowy?

W każdym razie całość robót „wyszła" na umową zawarte 266 642 złote, choć, oczywiście, tyle nie należało się! Zaś PKZ to zaakceptowały i wypłaciły! Całą fakturę, łącznie z kosztami prac budowlanych, których nie wykonywała Zofia K., zakwestionował dopiero MZBM, zaraz po ukończeniu prac zimą 1973 roku. I tu zaczął się długotrwały spór arbitrażowy, osobna nieco historia.

Na początku 1975 roku sprawą robót Zofii K. zainteresowała się KG MO. Jesienią 1975 roku PKZ powołały komisję specjalną, która, dwa lata po zakończeniu robót, doszła do wniosku, że przedsiębiorstwo nadpłaciło brygadzie Zofii K. kwotę 201 693 złote. Bardzo bowiem ciężko przychodzi przyznawanie się do własnych błędów. Najłatwiej natomiast stawiać wygórowane roszczenia swoim dłużnikom.

Podciej

Przypominamy

Przypominamy, że Koło Naukowe Polonistów UMCS i redakcja „Kameny" ogłosiły konkurs otwarty na pracę historyczno — lub krytyczno-literacką (esej, szkic, rozprawa, recenzja) pod hasłem „Nasze spojrzenie na literaturę polską". Prace (do 10 stron maszynopisu) w dwóch egzemplarzach należy nadsyłać (z godłem) do 31 marca br. pod adresem: Koło Naukowe Polonistów Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Instytut Filologii Polskiej, 20-031 Lublin, ul. Nowotki 14.

Na nagrody przeznaczono po 4 tys. zł w działach: 1) literatura polska do XIX w. włącznie, 2) literatura polska XX w. Ponadto wyróżnienie 1000 zł za najlepszą pracę dotyczącą zjawisk literackich lat 70-tych.

Szczegóły w nr 25 „Kameny" z 12 grudnia 1975 r.

kultura 1977

FILM

■ Nazwa „Studio Miniatur Filmowych" zdaje się sugerować, że chodzi o filmy dla młodzieży lub dzieci. Nic bardziej fałszywego. Placówka ta przygotowuje własne obrazy miniatur z przeznaczeniem dla dorosłych. Niektóre wykonane będą techniką wycinankową. Ci, którzy mają różne pretensje do nie zawsze trafnych prognoz meteorologicznych, będą mieli wiele uciechy oglądając satyryczny „Tajfun" Bogdana Nowickiego.

■ Jak wykazała statystyka, każdy Bułgar — licząc dzieci i starców — chodzi do kina przynajmniej 15 razy w roku. Własna produkcja obejmuje około 20 filmów kinowych i 20 telewizyjnych. Prawie co trzeci widz ogląda filmy krajów zachodnich lub rozwijających się, co czwarty radziecki, co piąty rodzime. Polskich filmów wyświetla się 9—10 rocznie, ogląda je około 5 mln widzów.

■ 77-letni już Fred Astaire, przed laty światowej sławy tancerz filmowy, specjalizujący się w stepowaniu, wystąpił po raz pierwszy w filmie francuskim „Un taxi mauve". Gra lekarza i naturalnie już nie tańczy, chociaż wciąż porusza się z młodzieńczą zwawością. Twierdzi, że grając teraz rolę interesującą psychologicznie, pragnie udowodnić, iż miał nie tylko sprawne nogi, ale i sprawną głowę, czego dawniej nie wykorzystywano.

■ Wiedeński hotel „Imperial", rezydencja dla zagranicznych gości, od pewnego czasu jest coraz częściej okupowany przez słynne gwiazdy filmowe. Obecnie mieszka tam (ze swoim szóstym mężem) Elizabeth Taylor, występując w nagrywanym filmie „Eine kleine Nachtmusik". W ogóle do Wiednia coraz częściej zaglądają ekipy realizatorskie, i miasto to może stać się, podobnie jak w okresie międzywojennym, europejskim Hollywood.

LITERATURA

■ Lesław M. Bartelski, prezes Oddziału Warszawskiego ZLP, obchodzi w tym roku 40-lecie działalności pisarskiej. Debiutował artykułem pt. „Zapomniana rocznica" we lwowskich „Sygnałach". Dotychczas napisał ponad 30 książek, w tym monografię „Mokotów 1944" — o walce tej dzielnicy w czasie Powstania Warszawskiego. Kończy powieść „Rajski ogród" (akcja toczy się w 1949 r.) oraz pracuje nad dalszymi częściami „Krwawych skrzydeł". Z pierwszą częścią będą one powiązane tylko postaciami bohaterów, a nie tematyką.

■ Nietypowym pisarzem jest wrocławianin Napoleon Mitraszewski. Od 29 lat jest on nauczycielem w ośrodku dla dzieci niewidomych — i sam jest niewidomy. Trzy lata temu „Ossolineum" wydało jego powieść pt. „A jednak żyć", ostatnio poupisano do druku drugą — „Przerwany szlak", gotowa jest trzecia — „Ku pełni życia", autor pracuje nad czwartą. Jest to właściwie jeden cykl, w którym Mitraszewski pokazuje, że ludzie niewidomi mogą osiągać swoje plany życiowe i być szczęśliwi.

■ W ZSRR ukazał się pierwszy tom wydania zbiorowego dzieł zmarłego przed kilku laty poety Aleksandra Twardowskiego. Całość obejmuje 8 tomów, nakład 130 tys. egzemplarzy. Za jego życia utwory w poszczególnych tomach wydano w Zsrr 263 razy w nakładzie 17 milionów egzemplarzy. Najbardziej znane jego poematy to „Kraj mrówek", „Wasyl Tiorkin" i „Dom przy drodze".

■ Doroczną nagrodę literacką Rady Nordyckiej państw skandynawskich otrzymał 30-letni Bo Carpelan, piszący w języku szwedzkim poeta i prozaik fiński. Zdaniem jury w jego wierszach jest odbicie wiecznych niepokojów człowieka — „z jednej strony pragnienie życia, z drugiej świadomość śmierci". Wielu krytyków zarzuca mu jednak, iż jego twórczość jest zbyt elitarna.

OPINIE

■ „Po wyrośnięciu z krótkich portek przychodzi pora życia dojrzała. Dlatego współżycie twórców z rzeczywistością, ze wspólną polską rzeczywistością, przeszło w stadium racjonalizacji. Chodzimy do KC i Rządu, jak swoi do swoich. Po swoje? Zawsze? A może trzeba dobrze się wykłócić — np. o to, by środki były łaskawsze w najbliższych latach dla kultury, a przepustowość w drukowaniu książek także łaskawsza". (W. M. — „Życie Literackie").

■ „Włoskie malarstwo jak gdyby traci na swej wartości, kiedy je wywieźć poza granice własnego kraju. Pozbawione otoczenia, w jakim historia jest jednocześnie obecna dzisiejszym obrazy te stają się rodzajem pastiszy, w których ciśnienie tradycji odczytuje się przede wszystkim jako dekadenckie żonglowanie formami zastanymi, bez próby reinterpretacji czy powiedzenia czegoś zupełnie nowego". (Marceli Bacciarelli — „Fakty 77").

■ „Bywały czasy, kiedy w polemice należało elegancko używać form „pogląd pana X" lub „reakcja kol. Y"; formy te w prasie podlegały takiej dewaluacji, że dziś są uważane za obraźliwe. Zdarzyło się niedawno, iż pewien redaktor prosił mnie jedynie o usunięcie z polemiki owego „panowania", co miało ją wydatnie złagodzić". (Krzysztof Mętrak — „Czas").

■ „Dobra kultury obejmują zarówno zabytki, jak i rzeczy nowsze, a nawet zupełnie nowe, będące jednak nosnikami pewnych wartości. Nie zawsze muszą to być dzieła sztuki, mogą być np. dokumenty przeszłości (...) Pojęcie „dobra kultury" obejmuje więc wszystko, co posiada dla kultury wartość i co podlega opiece. Charakterystyczne, że skrystalizowało się ono dopiero w ciągu ostatnich lat po wojnie". (Stanisław Lorentz — „Kierunki").

TEATR

■ Wrocławski Teatr Współczesny wystawił prapremierę nowej sztuki Tadeusza Różewicza — „Odejście głodomora". Reżyserował Helmut Kajzer, scenografię projektował Daniel Mróz z Krakowa. Dla odmiany krakowski Teatr Bagatela zaprezentował sztukę Helmuta Kajzera pt. „Gwiazda".

■ Comedie Francaise wystawiła ponownie „Cyda", ale w zupełnie niekonwencjonalnej formie. Aktorzy, poza Chmurą, noszą dzisiejsze stroje, biegają, krzyczą, rzucają się na podłogę, zamiast dekoracji czarne tło. Krytycy pisali, że niektóre fragmenty przypominają jatmarczne produkcje, że przedstawia się właściwie działalność transformatorskich elektrowni, język Corneille'a został unicestwiony, a klimat historyczny i moralny sztuki rozmyty. Czy u nas nie ma podobnych ekstrawagancji, czy też krytycy są zbyt łagodni?

WYZNANIA

■ „W naszym urzędzie coś straszyło; nie miał on mianowicie szczęścia do szefów. Nie powinien, owszem — przychodzili na to stanowisko ludzie bystrzejsi i inteligentni, ale rychło okazywało się, że albo woda sodowa strzela im do głowy, to znów nagle tracą poczucie rzeczywistości, bywało też, że po prostu głupieli zgoła nieoczekiwanie i błyskawicznie". (Marian Miszalski — „Odgłosy" nr 8).

■ „Mój magnetofon tak dalece zdenerwował kierownika „studio-f" Mariusza Waltera, iż gdy przyszło mu wystąpić na spotkaniu członków jury z olsztyńską publicznością, zażądał, abym go (magnetofon — przyp. red.) wyłączył (...) dzięki czemu uwolniony od ciężaru odpowiedzialności Walter mógł zakomunikować publiczności olsztyńskiej, że w zasadzie nie ma nic do powiedzenia". (Wojciech Roszewski — „Fakty 77").

■ „Piszę raczej bez dokładnego planu. Zaczynam i nie bardzo wiem, jak to się potoczy. Impuls do pisania to czasem jakiś problem, ale najczęściej aura, atmosfera, która potem zaciąży nad całą książką. Swoją postać muszę zobaczyć, rzecz jasna, w jakichś dekoracjach. Mam widocznie spojrzenie malarskie, byłem kiedyś studentem Akademii Sztuk Pięknych". (Andrzej Kusniewicz — „Film" nr 7).

ekran i widz

„Dagny"

Dawno już nie widziałem tak zmasowanej reklamy jak w wypadku filmu „Dagny" w reżyserii Haakona Sandoy'a. Być może miał na to wpływ fakt pierwszej w historii filmu polsko-norweskiej koprodukcji, a może to Norwegowie zajęli się po prostu reklamą? W każdym razie prowadzona jest ona na sposób „zachodni", dopuszczający wszystkie chwyty w celu zwrócenia uwagi potencjalnego widza. W „Życiu Warszawy" przeczytałem wielki anons stwierdzający, że „Dagny" to opowieść o niezwykłej kobiecie, muzie artystów końca ubiegłego stulecia: *Dagny Juel uwielbiali artyści tej miary co August Strindberg, Edvard Munch, ale ona oddała swoją rękę młodemu Stanisławowi Przybyszewskiemu. (...) Ich ośmioletnie przecięte tragiczną kulą małżeństwo, obfitowało w sytuacje wzniosłe i poniżające, w miłosne zaklęcia i oszczercze zarzuty, w ból i radość. Losy tego małżeństwa oglądamy na bogatym tle artystycznych kręgów skandynawskiego, polskiego i niemieckiego modernizmu.*

Historia związku fascynującej Norweżki wyemancypowanej z ówczesnej obyczajowości, oraz Stanisława Przybyszewskiego, „polskiego satanisty" epatującego współczesnych pojęciem „nagiej duszy", sondującego głębiny prabytu i absolutu — może, istotnie, być doskonałym tematem do filmu. Pod warunkiem, że znajdzie się twórca potrafiący udźwignąć artystyczne i filozoficzne problemy epoki, specyfikę i autentyczny koloryt środowiska i zamknie je w odpowiednim, dramatycznym kształcie. Haakonowi Sandoy'owi udało się tego dokonać w bardzo tylko miernym stopniu i dlatego „Dagny" jest filmem przeciętnym, chociaż wartym obejrzenia.

Gdyby, pisząc o tym filmie, ograniczać się tylko do złośliwych stwierdzeń, to można by powiedzieć, że „Dagny" jest opowieścią o tym, czego nie mógł August Strindberg, a co mógł Stanisław Przybyszewski, i jaki to miało wpływ na dalsze losy młodej kobiety, która zyskała sobie następnie miano „nieszczęsnej muzy Młodej Polski". Ale biorąc rzecz poważnie, trzeba chyba przede wszystkim postawić pod adresem reżysera zarzut, że kręcąc film o swojej rodaczce do tego stopnia uległ fascynacji Przybyszewskim, iż „Dagny" jest w gruncie rzeczy filmem o niezwykłym Polaku, i to jego postaci podporządkowana jest warstwa fabularna i dramaturgiczna. Dagny Juel jest tylko tłem.

Zbyt wiele też „dzieje się" na ekranie. Owe ciągłe podróże bohaterki i jej narzeczonego, a następnie męża, do Norwegii, z Norwegii do Niemiec, z Niemiec do Polski, z Polski do Norwegii, znowu do Krakowa, a potem do Warszawy, Paryża, Tyflisu sprawiają, że film bezwiednie zaczyna nabierać „podróżniczego" charakteru, a w pamięci widza zostają głównie obrazy kolejowych peronów, statków oraz pociągów. Zaczyna się gubić nie tylko artystyczny koloryt epoki, ale nawet umyka uwadze widza ów naczelny problem, który według słów reżysera miał stanowić o istocie filmu — problem *uczuć, spięć między ludźmi, przemian ich wzajemnego stosunku, miłości, nienawiści, szacunku, pogardy.*

Fotos roboczy z filmu „Dagny". Na pierwszym planie Sandoy i Daniel Olbrychski

Małżeństwo Dagny Juel i Stanisława Przybyszewskiego trwało osiem lat. Niestety w filmie nie odczuwa się upływu czasu. Istotne wydarzenia, które były jakby tytułami rozdziałów życia tych dwojga ludzi, następują jak gdyby z dnia na dzień. Pomijając już fakt, że okres pobytu Przybyszewskiego w Krakowie i redagowania przez niego „Życia" sprowadza się głównie do ukazania pijackich ekscesów głównego bohatera i romansów jego żony — nota bene przedstawionych z „przedwojenną", skandynawską powściągliwością. A przydałby się Wyspiański — czuwający wówczas nad stroną plastyczną „Życia", Malczewski, Fałat, Mehoffer i ich uczniowie, cała owa ówczesna krakowska „malaria", literaci i krytycy, do których przecież adresował swoje pisma Przybyszewski. Jeden niekochany poeta, Stanisław Korab-Brzozowski, gromada niezidentyfikowanych wielbicieli i ukazująca się w lwowskim epizodzie postać Jana Kasprowicza, to stanowczo za mało.

Postać Dagny kreuje znana norweska aktorka Lise Fjelstad, a Przybyszewskiego gra Daniel Olbrychski. Nic nie ujmując jego talentowi aktorskiemu, przez cały czas trwania filmu odnosi się wrażenie, że na ekranie występuje Azja Tuchajbejowicz, lub Andrzej Kmicic, ubrany w strój targanego wewnętrznymi sprzecznościami intelektualisty. Jest przy tym Olbrychski za przystojny, za elegancki, za uwodzicielski, co raczej spłyca niż pogłębia film.

Bardzo dobra oprawa plastyczna i doskonałe zdjęcia Zygmunta Samosiuka podnoszą rangę tego filmu, ale czyż nie jest on po prostu kulturalnie zrobionym melodramatem „ze sfer artystycznych" minionej epoki?

md

noty i notki

„Kurier Lubelski" jest nie tylko jedyną popołudniówką na świecie, ale w ogóle jedyną gazetą, która posiada dwóch naczelnych redaktorów. Na 1 stronie nr 37 w tzw. czołówce przeczytałem bowiem, że „redaktorzy naczelni Kuriera — (tu dwa nazwiska osób tam rzeczywiście pracujących — przyp. J. D.) — oraz redaktor naczelny Głosu Budowlanych wręczyli"... W stopce funkcje obu redaktorów są rozdzielone — ale komu wierzyć: pierwszej czy ostatniej stronie? A czy redaktor naczelny „Głosu Budowlanych" nazwiska nie posiada wcale?

Natomiast „Sztandar Ludu" (nr 36) przyniósł taką oto wiadomostkę: „Kolejne zwycięstwo odniósł zespół wrocławskiego Płomienia. Tym razem pokonał on wrocławską Gwardię 3:1 (15:8, 9:15, 15:2, 16:14). Wrocławianie stawiali zacięty opór sosnowiczanom". Niestety brak wyjaśnienia, skąd wzięli się ci sosnowiczanie i dlaczego trzeba im było stawiać taki zacięty opór.

Jakoś nie przyjęły się nazwy ulic: Samolotowa, Samochodowa czy Ciągnikowa, chociaż np. w Lublinie jest ulica Rowerowa — na której bywam dosyć często, ale rowerzysty jeszcze nie widziałem. W Biłgoraju zaś, jak w każdym szanującym się mieście, jeżeli tylko dociera tam PKP, jest ulica Kolejowa. Tyle, że prowadzi do dworca autobusowego, a nie kolejowego. Na dworcu autobusowym zaś można przeczytać na dziesięciu chyba tablicach, dużych i małych, że „Lux to autobusy o podwyższonym standarcie". Na moją uwagę, że w ten sposób PKS propaguje wprawdzie nie standartowy, ale standardowy błąd ortograficzny, dyżurny ruchu odpowiedział, że on owych tablic nie malował. Pewnie mówił prawdę, ale co z tego?

Ubezpieczony zawsze przezorny — tak powinien brzmieć zmodyfikowany slogan reklamowy PZU. Wszelkie papierki bowiem należy przechowywać aż do śmierci. Jeżeli np. nie ma dowodu, że przez ostatnie dwa lata posiadał samochód i nie spowodował kraksy, nie otrzyma 20 proc. zniżki ubezpieczeniowej. A jeżeli nie udowodni, rejestrując samochód, że takowy już kiedykolwiek posiadał, zapłaci całą stawkę plus 25 proc. A wszystko dlatego, że komunikacja pomiędzy dwoma państwowymi placówkami, PZU i wydziałami komunikacji, powinna być utrzymywana przez posiadacza samochodu, a nie żadną z tych placówek, pobierających opłaty.

Co ma zrobić autor sztuki lub reżyser, aby „nie zostawiać widza w rozterce", gdy „ciąg bodźców, jakim się poddaje, lub jest poddana bohaterka ma swoje źródło w nieuregulowanej sferze płciowej?" Andrzej Wróblewski, omawiając w „Literaturze" (nr 7) wystawioną w Bydgoszczy sztukę M. Olbromskiego „Płeć", ma taką radykalną radę: „Trzeba (...) położyć Martę do łóżka z chłopem, i z głowy". Kłopot z tym, że w sztuce nie występuje żaden mężczyzna.

Fundusz Wczasów Pracowniczych prowadzi w Juracie dwa pensjonaty, w których odbywają się „turnusy rekreacyjno-profilaktyczne" dla otyłych. Jak doniósł „Głos Wybrzeża" (nr 36), w roku ub. otyli wczasowicze stracili tam na wadze łącznie 8264 kg. Rekord wynosił 11 kg w ciągu 18 dni. Pięknie. Nie rozumiem tylko, dlaczego FWP nie prowadzi turnusów dla chudych, których przecież też nie brakuje.

W felietonie „Przecena" („Tygodnik Kulturalny" nr 7) „Test" ujawnia tajemnicę cennika Ministerstwa Kultury i Sztuki. Otóż za recytację 3-zwrotkowego tradycyjnego wiersza aktor powinien otrzymać 50—200 zł, za spotkanie w nieopalanym klubie „Rolnika" inżynier lub lekarz 200,50 zł, a godzina wykładu doktora habilitowanego lub nie na jakimś kursie czy seminarium kosztuje zaledwie 40—60 zł. Różnica jest tylko ta, że w praktyce aktorowi płaci się do 2000 zł, a inżyniera lub lekarza w ogóle się nie zaprasza. „Nie należy z tego wysuwać błędnych wniosków — pisze „Test" — że im wyższa świadomość wykonywanego zawodu, tym niższe (o)ceny". Patrząc na praktykę — przypuszczam że wątpię.

Powiedzonka, wyłowione z prasy ostatnich dwóch tygodni: „Pomyślmy tylko, czy dotkliwy ból paznokcia u nogi podnosi, czy też raczej obniża wydajność pracy rąk kogoś, kto robi sweter na drutach" („Kierunki"). — „Co jednak robić, aby trafić dziesięć razy? No, choćby dziewięć? Nic, bo tego nie da się zrobić" („Trybuna Ludu"). — „Zauważmy: gatunek homo sapiens też przechodził stadia pośrednie, niektóre były estetycznie znacznie wyżej stojące. A swoją drogą — pełnej krwi ogier jest niewątpliwie ładniejszy od Sokratesa" („Film").

JOD

Kamena str. 14

POCZTA LITERACKA

R. W. Pszczela Wola. Pesymizm — optymizm to nie kwestia wyboru, lecz osobowości. Światopoglądu nie wybieramy jak krawatu w sklepie z konfekcją. Dlatego mylnie stawia Pan zagadnienie, że może zmienić sposób patrzenia na świat, a wiersze będą lepsze. Będą lepsze wtedy, kiedy wierniej, świadomiej, krytyczniej stanie Pan twarzą w twarz wobec spraw, które czekają na pańską wypowiedź. Każdy nosi w sobie swój wiersz do napisania. Umiejętność polega na tym, by go „stamtąd" wydobyć. I oto proszę jak powtórzyłem myśl Sokratesa, że każdy w sobie nosi prawdę, a rzeczą filozofa jest dopomóc jej narodzinom.

P. G. Ostrołęka. Powtarzam chyba aż do znudzenia, że pisanie jest również rzemiosłem, jak szycie butów, naprawa zegarków, krojenie ubrań. Przyboś nawet na określenie poety wymyślił (i stosował) dość zresztą niefortunny termin „słowiarz". Chodzi o to, by piszącego uważać za rzemieślnika na równi ze stolarzem, dekarzem, bednarzem. I ten i tamci muszą znać tajniki zawodu. To wcale nie sprzeciwia się inwencji. Ale jak nie można zdobyć umiejętności produkcyjnej bez doświadczeń, tak nie można wejść w zawód pisarski bez prób, starań, usiłowań. Talent jest dyspozycją przyśpieszonego przebycia tej drogi. Owszem, czymś jeszcze, ale nie czymś, co eliminuje potrzebę rygoru. Dlatego proszę nie mieć złudzeń, że wiersz można napisać ot tak sobie. Powstaje on w błysku świadomości, ale na ten błysk złożyć się musi masa przemyśleń i doznań. Młody piszący uważa: jak to, przeżyłem te chwile, przejęła mnie swoja osobliwością, a w redakcji drukować nie chcą? Bo wiersz nie zawiera potrzebnej „tężyzny", mocy sugestywnej, w końcu prawdy. Znamy ten zwrot: „W pierwszych słowach mojego listu donoszę, że jestem zdrów czego i wam życzę". Czy jest tu coś powiedziane? A przecież zdrowie i troska o bliskich to ważna rzecz.

L. P. Lublin. Odnoszę wrażenie, że pisze Pan wiersze w sposób „filologiczny", to znaczy operując przyjętymi terminami poetyckimi a nie własnym doświadczeniem. Zbiera Pan piankę z kulturowych procesów literatury, jeśli można się tak wyrazić. O co mi chodzi? Wiersz to dla Pana nie odpowiedź na bodziec, jaki daje rzeczywistość, ale użycie „chwytów", „postaw", „tropów" w danym okresie modnych. Pamiętamy, że kiedyś w języku administracyjnym znajdowało się słówko „stymulować". Takie słówka istnieją również w języku poetyckim. Jest w tym coś nuworyszowskiego, jak coś nuworyszowskiego jest w zwrotach „kątem oka", „w błysku sekundy", „przysiągłby że", które się spotyka u kogoś, komu się wydaje, że awansował od języka potocznego do literackiego.

B. T. Włodawa. Nie liczy się autentyzm przeżyć w tym sensie, że powstanie wiersza można złączyć z jakimś rzeczywistym wydarzeniem. Liczy się autentyzm jako uczestnictwo w czasie, jako wyczucie aktualnej problematyki życia, a to jest zależne nie od biografii, lecz od świadomości. Dlatego nie widzę powodów do szczególnego spojrzenia na Pana wiersze. Tak się pisze w ogóle. W dalszym ciągu sprawą decydująca jest umiejętność dotarcia do czytelniczej wrażliwości, wywołania czytelniczego rezonansu, a wierność czy niewierność lirycznego zapisu jest czymś drugorzędnym. Niech wiersz powstanie pod wpływem zapałki, tylko niech będzie dobry.

R. W. Wojsław. Wiersze są bardzo niedojrzałe, jak zwykle zresztą, kiedy autor ma 15 lat. Tekstami innych autorów nie możemy służyć, ponieważ to wykracza poza nasze kompetencje.

J. S. Białystok. Na podstawie jednego wiersza niczego nie mogą powiedzieć.

M. T. Stalowa Wola. Próby są ciekawe i niewątpliwie rokują nadzieję ale razi ich przesadna „literackość". Pan za bardzo zaabsorbowany jest słowem jako narzędziem, mniej treściami, które mają być wypowiedziane. Owszem, na pewnym etapie jest to nawet pożądane, ale istnieje niebezpieczeństwo, że ta zabawa pociągnie Pana w ślepą uliczkę czegoś, co można by nazwać współczesnym formalizmem. Mimo wszystko trudniej jest coś powiedzieć, niż znaleźć intrygującą formę, która często pokrywa brak myśli.

R. S. Krężnica Jara. Kiedy czytam wiersz, zadaję sobie pytnie, czy chciałbym go napisać. Czy satysfakcjonowałby mnie jako autora. Wychodzę z założenia, że rzeczywistego autora musiał satysfakcjonować, skoro został napisany. Kiedy czytam pańskie wiersze, patrząc na nie takim okiem, powodów do autorskiego zadowolenia nie widzę. Do wstydu również nie. Ale te relacyjki z nastrojów odczuwanych powierzchownie, te refleksyjki w najmniejszym stopniu nie grzeszące oryginalnością — dla nich warto sięgać po pióro? Chcąc pisać wiersze musi się Pan w jakiś sposób obnażyć, nie można być poetą — uczuciowym anonimem.

S. W. Lublin. Właściwie recenzja nie jest tym, co by prowokowało do dyskusji jako tekst literacki, ale skoro Pan życzy sobie kilka uwag, oto one: zdawkowość, połowiczność, nieostrość. Pan nie skonfrontował omawianego tomiku ze swoimi kryteriami, postanowił Pan zapełnić 3 stroniczki papieru tekstem mniej więcej możliwym do przyjęcia. Wyszedł unik. Ani oporzycii, ani aprobaty, ani wyraźnego stanowiska. W końcu i Panu samemu ta rzecz w druku nie przyniosłaby satysfakcji.

F. R. Lublin, S. G. Puławy, R. S. Tomaszów Lubelski, T. R. Stoczek Łukowski — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA (nr 5)

Poziomo: 3. naczynie elektryczne do pieczenia, 5. jednoosobowa łódź sportowa, 8. metal szlachetny, 11. likwidacja zniszczonego budynku, 12. dziecko krowy, 13. zwój, 14. XVIII-wieczny komediopisarz polski, współzałożyciel czasopisma „Monitor", 17. do igły, 19. dzielnica wielkiej Warszawy, 20. drobna moneta, 21. uniwersytet w New Haven w USA, 22. skorupiak, 24. koń czystej krwi, 26. nadrzewny ssak drapieżny, np. pracz, 27. prymitywne narzędzie oracza, 28. plecionka słomiana, 29. góralski świerk, 31. wielogłosowość, 33. wyraz, 34. podobno mniej szkodzi niż papierosy, 35. twórca polskiej opery narodowej, 36. jezioro w środkowej Afryce, 37. ścięcie piłki w tenisie, 38. materiał fotograficzny.

Pionowo: 1. przedstawiciel, obrońca interesów, 2. imię kompozytora „Borysa Godunowa", 3. znany współczesny polski reżyser filmowy, 4. współczesny poeta [illegible] piewca Warszawy, 6. popularny minerał, dwutlenek krzemu, 7. wybitny pisarz amerykański, laureat Nagrody Nobla, 9. figura w kartach, 10. pieśń wielogłosowa, zaczynana kolejno przez poszczególne głosy, 15. XVI-wieczny pisarz polski z okresu kontrreformacji, 16. nauka o moralności, 18. instrument z miechem z koziej skóry, 19. ogłoszenie gotowości bojowej, 20. nad nim Mysia Wieża, 23. naukowo patrzy w gwiazdy, 25. oberżyna, 28. podtrzymuje żagiel, 29. starogrecka poetka, 30. bohater Matejkowskiego obrazu, 31. druga linia drużyny piłkarskiej, 32. sznur strzelniczy.

Rozwiązania można nadsyłać pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-951 Lublin) w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

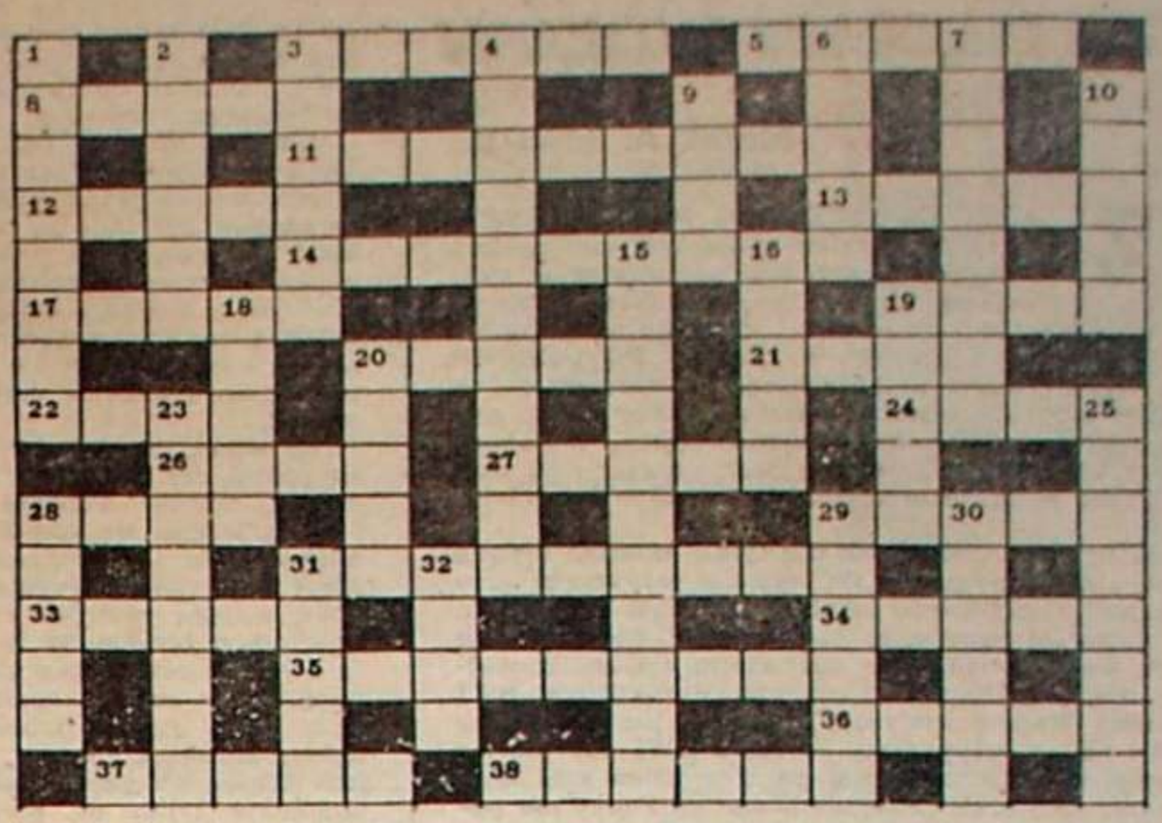

Rozwiązanie krzyżówki z nr 3.

Poziomo: Szermentowski, Paweł, zasób, wstawka, inserat, Minol, walec, Perrault, konwie, Harris, azymut, szabla, Babimost, pozew, maron, bazylia, Atlanta, legar, Klara, Gojawiczyńska.

Pionowo: Warszawa, Słowacki, egzamin, mason, Nobile, opus, spór, instytut, etapy, opera, Real, Oslo, Westa, Habsburg, ruiny, Zapolska, uwertura, Benares, smalec, rugby, zwój, Lwów.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 3 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Jerzy Olak, 01-456 Warszawa, ul. Krepowieckiego 9 m. 192; Tadeusz Orski, 25-710 Kielce, ul. Południowa 4 m. 74; Feliks Stańczyk, 99-400 Łowicz, ul. Zagrodowa 5; Wacław Tryblewski, 68-200 Żary, ul. Miczurina 1 m. 4.

listy do kameny

„RZECZYWIŚCIE PAROKSYZM"

W numerze 2 „Kameny" (z 23.I.77.) Emil Biela egzemplifikuje — używając jego własnego stylu — bardzo pierwszorzędne pisanie o... niczym. Aż dziw bierze, że można zająć tyle miejsca w cenionym piśmie na popisywanie się stereotypowymi chwytami i pseudoelokwencją.

Ale po kolei, to znaczy od końca. Emil Biela boryka się z dręczącym go pytaniem aby wziąć w tej walce górę, z ulgą dochodząc do wniosku, że ktoś urodzony w 1945 nie ma moralnego prawa pisać o przeżyciach ludzi w obozie koncentracyjnym, a jeżeli już coś takiego dokonał, to jest to „bolesne". Można i tak!

Tylko czy np. pp. Sienkiewicz, Szekspir i inni, popełniwszy podobne „bolesne" nietakty, opisując w swoich dziełach cierpienia ludzi zupełnie im niewspółczesnych, nie poprzewracają się w grobach na takie dictum? A może sprawa obozów koncentracyjnych jest zarezerwowana na wyłączny użytek, zdaniem Emila Bieli, dla ludzi współczesnych tej tragedii i wraz z ich wymarciem powinna ulec przedawnieniu? Zaiste, bardzo oryginalny to pogląd!

Zacząłem od końca, bo ta myśl, jak się wydaje, chytrze chowana w zanadrzu, aby w końcu z jasnością błyskawicy porazić efektownym wielokropkiem, jest jedyną myślą tego omówienia, z którą w ogóle można polemizować. Wszystkie poprzednie egzemplifikacje polotu autora oraz „brylanciki", „bojaźnie" i „sic" (nad którego znaczeniem trzeba drapać się w głowę aż do wyłysienia) moja dobra pani od polskiego, którą wspominam z szacunkiem, nazwałaby po staremu wodolejstwem.

Nie czytałem „Paroksyzmu", klnę się, że nie znam Józefa Łozińskiego! Do jednego przyznaję się dobrowolnie — martwi mnie takie marnotrawstwo papieru.

Łączę serdeczne pozdrowienia dla redakcji.

Ryszard Sergiusz Koszelle
Kopenhaga

UWAGI DO „DZIEJÓW LUBLINA"

Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Lublinie, znane ze swej pożytecznej działalności naukowej w regionie lubelskim wydało dwa tomy „Dziejów Lublina". Materiały z historii miasta stanowią zawsze niezmiernie frapującą lekturę. Powinny to być rzeczy źródłowe, stanowiące kapitalne przyczynki do dziejów różnych dziedzin życia miasta.

Czy „Dzieje Lublina" spełniły zalecane wymogi? Powinno to wypłynąć z opinii czytelników. Niestety, dyskusji nad tym dziełem w tutejszej prasie prawie nie było.

Cennym przyczynkiem przedstawienia w „Dziejach Lublina" rozwoju miasta i jego architektonicznego obrazu jest dział pt. „Rozwój urbanistyczny i architektoniczny miasta w latach 1918—1939", opracowany przez mgr. inż. H. Gawareckiego, znanego ze swych informacyjnych i popularyzacyjnych prac o zabytkach Lublina i regionu. Opracowano ten dział w oparciu o źródła zaczerpnięte przeważnie z licznych informacji urzędowych b. Zarządu Miejskiego. Nie można się dziwić, iż dlatego autorowi uszły z pola widzenia niektóre charakterystyczne obiekty budownictwa ogólnego, o których brak wzmianki w rozdziale o rozwoju architektonicznym.

Ponieważ opracowanie mgr. inż. Gawareckiego ma charakter historyczny, naukowy, pożądanym by było, aby zawierało możliwie pełnię obiektów. Wymieniam więc charakterystyczne budowle, o których nie mogłem dostrzec informacji w omawianym dziele:

budynek biurowy Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń przy ul. 22 Lipca wg projektu arch. J. Siennickiego (obecnie Klinika M.S.W.); budynek b. Ubezpieczalni Społecznej przy ul. Hipotecznej 4 wg projektu arch. H. Paprockiego (obecnie ZUS i poradnie specjalistyczne i wewnętrzne); przebudowa budynku dawnej rzeźni z nadbudową dwóch kondygnacji na cele szkolnictwa powszechnego przy ul. Bronowickiej wg projektu arch. J. Kędzierskiego; monumentalny budynek w surowym stanie przeznaczony na cele społeczne katolickie przy ul. Szopena wg projektu J. Siennickiego; budynek szkolny w dzielnicy Czwartek wg projektu arch. J. Kędzierskiego; osiedle mieszkaniowe na Czechowie b. Towarzystwa Osiedli Robotniczych (budynki oszczędne wg. projektu typowego warszawskiego); budynki mieszkalne Urzędu Wojewódzkiego przy ul. 22 Lipca wg. projektu arch. S. Piotrowskiego o rozwiązaniu nowoczesnym; budynki mieszkalne Funduszu Kwaterunkowego b. Min. Spraw Wojskowych w dzielnicy Racławickiej o rozwiązaniu ekonomicznym i nowoczesnym; budynki przemysłowe Monopolu Tytoniowego przy ul. Wrotkowskiej i surogatów kawowych przy ul. Metalowskiej; budownictwo użyteczności publicznej, np. budynek pocztowy przy ulicy Gazowej (z pionierskimi prefabrykowanymi stropami).

Żałować należy, iż przedstawiony obraz rozwoju ówczesnego miasta nie został podparty pełnym opisem prac inwestycyjnych z dziedziny inżynierii miejskiej, finansowanych przez b. Fundusz Pracy.

A. Ziencikiewicz
Lublin

„PRZEPRASZAM CZY TU MATUJĄ?"

Sprawom poruszanym w artykule „Przepraszam, czy tu matują" (Kamena nr 1 z br) Wojewódzka Federacja Sportu i Okręgowy Związek Szachowy w Lublinie poświęciły już i poświęcają nie „minutę myślenia", ale wiele godzin.

Otóż pomimo prawie zgodnych wysiłków (jednak) WFS i OZSzach. — Ośrodek Szachowy od dłuższego czasu (prawda) był niestety zamknięty na przysłowiowe cztery spusty. Wspomniane przez autora czwartkowe szkolenie młodzików to obok organizacji niedzielnych turniejów błyskawicznych jedna ze społecznych inicjatyw działaczy. Brakło bowiem osoby do prowadzenia Ośrodka. Nie czyniłoby to istotnej przeszkody, gdyby prowadzeca dotychczas etatowo ośrodek osoba pogniewała się i zaprzestała pracy. Zatrudniło by się inną i po kłopocie. Lecz jest przysłowiowe „ale". W okresie listopad — połowa grudnia zaistniał konflikt pracownika prowadzeceao Ośrodek z WFS i dana osoba przeszła na prace w godzinach rannych. Przy końcu grudnia osoba prowadzaca Ośrodek wyjechała na ważne zawody sportowe. Styczeń, luty, marzec to przysługujacy prawnie okres wypoczedzenia, w tym chorobowe, urlop szkoleniowy i wypoczynkowy pracownika. W rezultacie — perspektywa wiszacej kłódki na drzwiach aż do 1 kwietnia. W tej sytuacji działacze społeczni, majacy też prace zawodowa i obowiazki rodzinne, nie mogli codziennie pełnić dyżurów od godz. 16 do 22.

W tym stanie rzeczy Wojewódzka Federacja Sportu zlitowała się na szczęście nad „bezdomnymi" szachistami i z dniem 1 lutego przyznała skromny ryczałt, co pozwala otwierać Ośrodek w piątki, sobotu i niedziele. Ponadto uprzejmie informuje, że z dniem 1 kwietnia Ośrodek będzie czynny już przez 6 dni w tygodniu. Dodać pragne, że do czasu uruchomienia w Lublinie klubo-kawiarni o profilu szachowym (czynione są w tym zakresie starania) Ośrodek będzie służył nie tylko wieczynowi sportowemu, lecz także amatorom i wszystkim miłośnikom królewskiej gry. Wyrazem tego jest chociażby przewidziany w lutym turniej oldboy'ów i działaczy.

Prezes OZSzach.
mgr Jan Sek
Lublin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni, (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.
Cena prenumeraty rocznej — 78.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 419 18.II.77 r.

Numer łamał: Wiktor Muda drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Nr indeksu 36251

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czyt. 2552/1977/5

NIE MĘCZMY WOŁÓW

Marek A. Jaworski

ŹLE CZY DOBRZE, ALE PO NAZWISKU. Przez pewien czas „Szpilki" szczególnie hołdowały tej zasadzie zamieszczając cykl artykułów co bardziej znanych publicystów, którzy to i owo temu i tamtemu wypominali. Inna rubryka „Szpilek" BYLE NIE PO OCZACH też umarła śmiercią naturalną. Najwidoczniej i w stolicy człowiek człowieka boi się tknąć nawet palcem, by w zamian nie otrzymać tęgiego kopniaka. Jerzy Urban to chlubny wyjątek, chociaż i on woli dogryzać — słusznie zresztą dogryzać — prowincjuszom.

Nasza prasa codzienna, nie tylko lubelska też nie lubi, a może po prostu do tego nie przywykła, krytykować konkretnych ludzi — z imienia i nazwiska. Co najwyżej napisze, że Jan Kowalski spędził noc w izbie wytrzeźwień, o ile, oczywiście, ów Jan Kowalski nie jest naczelnikiem czy dyrektorem BWI (Bardzo Ważnej Instytucji). A jeśli już się zdarzy cud i na — przypuśćmy — szefa BWI posypią się gromy, wszyscy oczekują, że lada dzień szef BWI spadnie ze stołka. „Skrytykowano go i nikt nie powie, że to dziennikarz Jan Kowalski skrytykował dyrektora Jana Kowalskiego, ale że „Gazeta". A jeśli „Gazeta"... Ho, ho, oni dobrze wiedzą komu przysolić!

Po cudzie, czyli po gromach, szef BWI, który myśli podobnie jak grono śmiertelników, zwykłych zjadaczy chleba z masłem dietetycznym, zaczyna albo się pienić, albo trząść. „Co oni sobie myślą? Ja im dopiero pokażę!" W gruncie rzeczy pokazać może, jeśli ma co, tylko własnej żonie albo przyjaciółce. Protektorzy bowiem, jeśli takich posiada, na ogół nie chcą się wtrącać, zwłaszcza gdy widzą, iż szef BWI popełnił zwykłą gafę, i wszelkie zabiegi skrytykowanego kwitują dobrotliwym uśmiechem. Oczywiście może się zdarzyć, że przy okazji obudzi się w nich wątpliwość w rodzaju: „Jeśli Jan Kowalski wydał jedno głupie zarządzenie, warto by sprawdzić, czy inne są w porządku i czy przypadkiem nie zbłądzono powierzając Janowi w miarę odpowiedzialne stanowisko". Błądzić jest przecież rzeczą ludzką i zarówno na dole jak i na górze działają osobnicy z gatunku homo sapiens. Ten nie popełnia błędów, kto nic nie robi. Znamy dobrze to powiedzenie, chociaż często wolimy o nim nie pamiętać...

Nie wiem, czy jest lepiej, gdy Kowalski zaczyna się pienić, czy też trząść. Osobiście wolę już pieniaczy niż tchórzy. Tchórze mają zwykle małe serca. I kiedy trzęsie się szef BWI, zaczynają trząść się i wiceszefowie i wicewiceszefowie i różne podwicki. Ale i tutaj nie ma reguły. Bywa, iż trzęsie się szef BWI, a jego zastępca nagle czuje, że rosną mu skrzydła u ramion. W te pędy mknie do protektora swego szefa zaopatrując się po drodze w kilka kilogramów soli i pieprzu. Wszystko, co nagromadziło się w jego wątrobie, wypowie teraz jednym tchem. Dosoli, dopieprzy, da do zrozumienia, że on już dawno, że gdyby nie on, to by dopiero i że właściwie tylko na niego liczyć można, bo on Rejtan i Passent w jednej osobie. Na dobrą sprawę wypadałoby takiego faceta obedrzeć ze skóry i ową solą i pieprzem dokumentnie obsypać. Ewentualnie wsadzić w samolot i wysłać do kraju, w którym rządzi Al-Hadżi, marszałek polny, doktor Idi Amin Dada V.C.,C.O,M.C. Ale czy warto to sobie zaprzątać głowę wicetchórzem? W danym zresztą wypadku wiceszef BWI jeszcze bardziej, chociaż nie skrytykowany przez dziennikarza, trzęsie portkami. Zachowuje się jak szczur, który chce uciec z tonącego okrętu. A przecież okręt jeszcze płynie i są szanse na jego uratowanie. Wiceszef nie wie jednak tego. On woli być przygotowany na najgorsze. I pragnie, by to najgorsze dla szefa stało się najlepsze dla... niego.

Bywają, a owszem, jeszcze inne wyjątki. Skrytykowany nie biegnie do protektora, ale do podwładnych, których przedtem nie zauważał. „Róbcie coś, protestujcie, wspólnie wykończymy tego rozrabiakę". Może się zdarzyć, że widok skomlącego szefa — tak inny od codzienności — tego i owego wzruszy do głębi, bądź też obudzi nadzieje co do uzyskania konkretnych korzyści w przyszłości, gdy wszystko rozejdzie się po kościach. I płyną protesty. A później w cztery oczy słyszy się: „Ja musiałem to podpisać". Musiałeś, człowieku? Po co mamy się bujać!

Nie wiem, czy dożyję czasów, gdy skrytykowany szef BWI, Jan Kowalski, odpisze na artykuł dziennikarza, Jana Kowalskiego, mniej więcej tak:

„Miał Pan w stu procentach rację. Zachowałem się głupio. Serdecznie dziękuję za pomoc. Pana uwagi uwzględnię w mojej dalszej pracy. A przy okazji pozwalam sobie Pana zaprosić na lampkę koniaku. Termin i miejsce do uzgodnienia".

Oj, marzyciel jestem!

Z tego, o czym wyżej, może ktoś wysnuć wniosek, że dziennikarz jest istotą nieomylną. Tego typu rozumowanie będzie jednak, moim zdaniem, świadczyć o jednym: że powyższy tekst nie został dokładnie przeczytany.

Bo cuda zdarzają się mimo wszystko rzadko. Bardzo rzadko. Na szczęście czy też na nieszczęście niejednego szefa BWI, który grzęźnie tak, że go jutro nawet setką wołów nikt nie wyciągnie. A dziś wystarczyłaby zwykła dłoń. Nawet czarna od farby drukarskiej i niebieska od atramentu. Po co zresztą męczyć zwierzęta?

minuta myślenia

Moja reakcja na kosmos

PRZECZYTAŁEM wreszcie Hoimara von Ditfurtha „Dzieci wszechświata". Pierwsza myśl, która mnie w związku z tym odwiedziła, to ta, że badania Wielkiej Tajemnicy w ubiegłym stuleciu polegało na drążeniu istoty bytu w jego — że tak powiem — aspekcie immanentnym (Maeterlinck, Tagore), dziś natomiast na mierzeniu kosmosu. I to wcale nie pod wpływem osiągnięć kosmonautyki! Nawet — można powiedzieć — wbrew im. Ditfurth np. wyraźnie powiada, że termin „astronautyka" w najlepszym wypadku jest eufemizmem, a „zdobycie kosmosu" całkiem jawną niedorzecznością. Mówi: sukcesem w tej dziedzinie jest ludzka stopa na Księżycu, ale gdybyśmy chcieli spreparować model naszej galaktyki w skali 1:100 milionów, to Ziemia wielkości pomarańczy z Księżycem wielkości piłki pingpongowej zmieściłaby się w pokoju, już Pluton znajdowałby się w odległości 60 km, a najbliższe nam inne słońce, mianowicie Alfa Centauri, musielibyśmy umieścić na Księżycu. Odległość kosmiczna w modelu! Gdzież więc astronautyka?

W ogóle myśl penetrująca Wielką Tajemnicę sceptyczniejeje. Futurolog Alvin Töfler widzi całkiem przykre perspektywy ludzkości osiągającej coraz wyższy poziom cywilizacji („zagraża nam dobrobyt"), paleontolog (jeśli ten termin wystarcza w odniesieniu do czasów poprzedzających hipotetycznie naszą cywilizację), Erich von Däniken, stawia hipotezę o naszym raczkowaniu za istotami z kosmosu, które wiele milionów lat temu osiągnęły stopień rozwoju jeszcze dziś nam nieosiągalny, psychiatra i neurolog, Holmar von Ditfurth, odmawia nam pozycji uprzywilejowanej, Ziemię i człowieka odsyła do szarego kąta we wszechświecie. Tak, do szarego kąta, Mówi się, że jego książka ma wydźwięk optymistyczny. W tym wymiarze nie wiem, co znaczy pesymizm, a co optymizm, ale jeśli już, to cóż mi za pocieszenie w sformułowaniu, że jestem dzieckiem a nie bękartem wszechświata, skoro wobec jego obszarów tak mało znaczę. Przykład: jeżeli życie na Ziemi wyobrazimy sobie w postaci odcinka o długości 3 metrów, to życie człowieka zamknie się w obrębie... jednej tysięcznej milimetra. Wszystkie Platony, Arystotelesy, Leonardy, Beethoveny, Kanty i Einsteiny składają się na jedną tysięczną milimetra. I tym mam być pocieszony!

Mogę więc powiedzieć, że książka wyrządziła mi szkodę. Byłem przyzwyczajony do swojego świata, a Ditfurth rzucił mnie gdzieś, gdzie sam siebie nie mogę znaleźć. Owszem, te lata świetlne, te galaktyki, miało się je jakoś wmontowane w światopogląd, jakoś obłaskawione werbalizmem. Ale przykłady. Mają niby na celu uprzystępnienie tajemnicy, ale dopiero czynią z niej demona. Proszę bardzo. Trzymam fotografię galaktyki i przekłuwam ją szpilką. Co zrobiłem? Zniszczyłem milion słońc. Proszę państwa, milion słońc. Zrobiłem w kosmosie dziurę, którą aby przebyć, musiałbym, w pojeździe poruszającym się z szybkością światła jechać 700 lat. Dziesięć moich pokoleń musiałoby zszywać tę dziurę, jaką zrobiłem szpilką. Co tu mówić o scholastyce, która zastanawiała się ile aniołów zmieści się na końcu tego narzędzia.

Ale wspomnianą szkodę zaleciłbym wszystkim intelektualistom jako terapię na bezprzedmiotowe gadulstwo. Owszem, na ziemi zmniejszonej do rozmiarów pomarańczy niewiele różni się pie-pie od „Krytyki czystego rozumu", wszelako taka lektura wnosi poczucie proporcji. Uczy odróżnić rzecz od jej pozoru. I to jest humanistyczne znaczenie książki, która w swym walorze przedmiotowym może nawet nie mieć znaczenia profesjonalnego. Ona mówi: człowieku, znajdujesz się w rzeczywistości, w której światło porusza się z szybkością żółwia, w której odległość Ziemi od Księżyca to prawie tête-a-tête, przestań truć o banialukach, nabierz spojrzenia, mierz we właściwej skali.

Może zbyt pośpieszne rozważania o kosmosie sprowadzam do zjawisk życia codziennego, ale właśnie zauważam pewną prawidłowość w rozwoju naszej cywilizacji, czemu kto wie, czy nie warto by poświęcić odrębnej pozycji w serii „Omega": wzrost znaczenia szczegółu. Tam w kosmosie odkrywamy coraz większe obszary, tu podlegamy coraz mniejszym prawom. Dzień uznajemy za spędzony korzystnie, jeśli udało się nam wejść do trolejbusu, jeśli nie za długo trwała odprawa u kierownika wydziału, jeśli nie zabrakło ciepłej wody w łazience. Zawężenie perspektywy, kosmos w wydaniu kieszonkowym. I wcale jako antidotum na tę drobiazgowość nie proponuję przerażenia się bezmiarem, nie aż do tych argumentów trzeba się uciekać, by skontrować minimalizm, ale interesuje mnie takie zjawisko: gość idzie do księgarni, kupuje, czyta z przejęciem, po czym pół godziny spędza przed wystawą sklepu z galanterią studiując jaki by tu kołnierzyk koszuli najlepiej pasował do jego wirazu i aktualnych wzorców obyczajowych. „Biblioteko myśli współczesnej", oto temat dla nowej książki w tym pożytecznym cyklu! Tylko jak wspomniałem: i po tej książce gość gotów oglądać jeśli nie wystawy koszul, to stoisko z krawatami. Czyli do diabła z taką nowoczesnością, wracam do jaskini.

Co jeszcze oprócz tej wzrastającej roli szczegółu byłoby do zauważenia: że konstatacje naukowe nie mają dziś żadnego wpływu na stan świadomości kulturowej. Powinno być przeciwnie, choćby z tego powodu, że większość tych prac jest pisana nie przez fachowców, lecz przez hobbystów danego tematu, co świadczyłoby o powszechności zainteresowań, tymczasem refleksja najpomyślniej wchodzi sobie na rynek i zyskuje tam handlowe powodzenie, ale w najmniejszym nawet stopniu nie formuje życia umysłowego. Czy w ogóle życia. A podobno nasza współczesność przepędziła takie hasła jak naiwnie tradycyjna „sztuka dla sztuki", zerwała z takim stanem rzeczy, jak brak kontaktu między naukową refleksją a treścią kulturowej świadomości. Tu mi oblicze dnia dzisiejszego wyjaśnić!

Wyjaśnić? Namalować w barwach rzeczywistych. A nie przypuszczam by były zbyt jasne.

Ijon

MIECZYSŁAW BUKOWCZYK:

HOROSKOPY

Ważne od 8 do 21 III 1977

BARAN
21 III — 18 IV

To spotkanie może mieć taki finał, jakiego nigdy byś sobie nie życzył. Raczej więc nie idź, zwłaszcza, że masz dobrą wymówkę. Osoba płci odmiennej o włosach czarnych kręci się koło ciebie. Z tej znajomości, gdy zaloty odwzajemnisz nic jednak dobrego nie wyjdzie. Jeśli — to dodatkowe komplikacje zarówno w pracy, jak i — co ważniejsze — w domu.

BYK
19 IV — 20 V

Źle się bawisz ostatnio! Oczywiście życie musi się również bawić i z przyjemności, ale one nie powinny stanowić jego zasadniczej treści. Może po prostu wybrałeś w zupełnie dla ciebie nieodpowiednie towarzystwo? A pierwsze dni marca zapowiadały się tak pomyślnie! Jeden nierozważny krok i skutki już zaczynasz odczuwać na własnej skórze. A może być znacznie gorzej!

BLIŹNIĘTA
21 V — 20 VI

Starzy przyjaciele odwracają się od ciebie. Ciągle brak ci zdecydowania, jesteś zbyt miękki, nie stać cię na to, by przeciąć ów gordyjski węzeł. Praca też cię męczy, starasz się iść po najlżejszej linii oporu. Szef jest na ogół cierpliwy, ale i on może się w końcu po prostu znudzić.

RAK
21 VI — 22 VII

Znowu ta wódka! Człowieku, ile ty możesz wypić?! W ten sposób tylko marnujesz zdrowie! A rzecz w tym, że ty wypijesz z każdym, zwłaszcza z tym, który ci postawi. Na szczęście twoi przyjaciele ostatnio stawiają ci coraz mniej, widząc, że do rewanżów nie jesteś zbyt skory. Twoje towarzystwo ludzi bawi, ale do czasu, gdy nie przebierzesz miarki. Jeśli tak dalej pójdzie, pomyśl o zmianie pracy. Szef podwyżki nie dostał, humor mu się zmienił. W stosunku do ciebie stał się bardziej oschły. Nie widzisz tego?

LEW
23 VII —22 VIII

I coś ty najlepszego uczynił? Jeden wieczór, jedno nieodpowiedzialne zachowanie się i koniec nadziei. Przynajmniej w najbliższej przyszłości. Ostrzegano ciebie, ale ty ostrzeżenia lekceważysz. Teraz możesz sobie radzić tylko sam, bo na swych przyjaciół też liczyć zbytnio nie możesz. A wszystko z twojej winy!

PANNA
23 VIII — 22 IX

Jesteś potwornym leniem! Żyjesz z dnia na dzień. To, co masz zrobić dzisiaj odkładasz na jutro. To, co masz zrobić jutro, na pojutrze. I tak w kółko. Na wygraną w Toto-Lotka nie masz co liczyć, na spadek również. Więc co dalej? Właśnie, co?

WAGA
23 IX — 22 X

To długie siedzenie ogłupia, ale ktoś musi i tę robotę wykonywać. Że trafiło akurat na ciebie? Sam tego chciałeś. Jedyna rzecz przyjemna to ta, że ludzie ciebie lubią. Po prostu nie potrafisz im się narażać. To zasługa twego charakteru!

SKORPION
23 X — 21 XI

Wszystko ci się ciągle nie podoba. A czy sam nie potrafisz wykazać więcej inicjatywy? Rozpraszasz się, zajmujesz drobiazgami, tetryczejesz. Dotąd miałeś wiele szczęścia, ale cierpliwość innych już się zaczyna wyczerpywać.

STRZELEC
22 XI — 21 XII

Nareszcie dowiedziałeś się, komu warto nadskakiwać. Nie czyń jednak tego tak nachalnie, bo skutek może być odwrotny od zamierzonego. W domu bez zmian, ale dzieci coraz bardziej cię lekceważą. Czyżby i one już się poznały na twojej prawdziwej naturze? Absolutnie nie masz się teraz z czego cieszyć!

KOZIOROŻEC
22 XII — 20 I

Jeśli zdajesz jeszcze egzaminy, albo będziesz je zdawać, licz bardziej na wiadomości niż na wrodzony spryt. Jeśli już pracujesz, ów spryt staraj się należycie wykorzystywać. Spotkanie, do jakiego wkrótce dojdzie, przyniesie ci nie tylko same radości. Pamiętaj, że nie ma róży bez kolców!

WODNIK
21 I — 18 II

Doczekałeś się. Krytykowałeś innych, a teraz na tobie wszystko się skrupiło. Oczywiście poradzisz sobie, jak zwykle, ale nerwy postrzępisz. Wyjazd dojdzie do skutku, przyjemność będzie jednak daleko mniejsza niż przewidujesz. A w ogóle uważaj: łatwo wpaść w poślizg!

RYBY
19 II — 20 III

Ciągle udajesz dziecko. Wczoraj mówisz tak, dziś inaczej, nie wiadomo, co ci przyjdzie do głowy jutro. I potem dziwisz się, że otoczenie nie traktuje cię poważnie. Weź się wreszcie w garść. Życie nie stoi w miejscu. Chyba nie chcesz wypaść w biegu?

Stella